

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Hobbies*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 30 LISTOPADA 1929 ROKU

NR. 48

TREŚĆ NUMERU: Kobieta a kryzys mieszkaniowy — *Natalja Jastrzębska*. Apostolstwo uśmiechnięte — *Ja-  
miga Kiewnarska*. Poezje: „Dekoracja” — *Marja Kossak-Pawlikowska*. Zawalidroga (c. d.) — powieść —  
*Herminja Naglerowa*. Od Afryki do Polski — *M. H. Szpyrkówna*. Na marginesie ostatnich wystaw — *I. j.*  
*Z życia muzycznego* — *P. L.* Z książek — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Dom  
angielski (c. d.) — *Stanisław Machniewicz*. Standaryzacja czy indywidualizacja — *Stefanja Podhorska-  
Okolów*. W odpowiedzi Pani Hance z nad Bugu — *J. S.* Coś, nieco o kartoflach — *Pani Elżbieta*. Przepisy  
gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Negliz — *Well*. Doda-  
tek powieściowy: „Opowiadanie głupiego Joana (dok.) — *M. Kasterska* i „W poszukiwaniu szczęścia” — *Win-  
centy Nowak*. Arkusz wzorów.

## KOBIETA A KRYZYS MIESZKANIOWY

Ze wszystkich klęsk wojennych i powojennych najuporczywszą, do dziś dnia z mniejszym lub więk-  
szym natężeniem w całej Europie trwającą, jest sprawa  
niedostatecznej ilości mieszkań.

Jest to stan rzeczy niezmiernie szkodliwy ze  
wszystkich względów, działający ujemnie na zdro-  
wie, stan psychiczny, jakość i rozwój pracy każdego  
człowieka, ale specjalnie odbijający się na zdrowiu  
dzieci i życiu kobiet, gospodyń domu.

Nie trzeba dowodzić, jak strasznie ciężko jest  
utrzymać porządek i stosować się do elementarnych  
wskazań higieny w lokalu ciemnym, ciasnym i prze-  
ludnionym, nadto pozbawionym jeszcze (a ileż jest  
takich!) dobrego rozkładu i racjonalnych urządzeń.  
Życie w takim mieszkaniu pozbawia człowieka  
zdrowia i energii; o zastosowaniu w niem estetyki,  
nowoczesnej organizacji pracy i gospodarstwa nie  
może być zupełnie mowy.

Tak zwana „rozbudowa” na wielką skalę zapo-  
wiadana jest corocznie, na wiosnę, i corocznie na-  
próżno wyglądamy jej, jak radosnej jaskółki, któ-  
ra... nie przylatuje. Zwykle, wkrótce po zapowie-  
dziach rozwinięcia ruchu budowlanego, czytamy  
krytyki i biadania, że... sezon znów w tym roku zo-  
stał zmarnowany.

W wielu krajach Europy podobny stan rzeczy  
istniał po wojnie, ale umiano prędzej go zlikwido-  
wać; tam zaś, gdzie jeszcze to nie nastąpiło w zupeł-  
ności, rozwinęła się szeroka akcja społeczna dla za-  
radzenia złemu. We Francji np., gdzie skutek prze-  
bytej ostatnio dewaluacji franka, rozwój budowlany  
został zatamowany, do uleczenia choroby miesz-  
kaniowej zabrały się kobiety.

Pod hasłem: „ognisko rodzinne w niebezpie-  
czeństwie!” związek obywatelski i społeczny kobiet  
postawił sobie zadanie zwalczania klęski mieszka-  
niowej we Francji. Dostarczać dobrych, zdrowych  
mieszkań, to znaczy zwalczać alkoholizm, gruźlicę  
i niemoralność, to zapewnić szczęście rodziny, zdro-  
wie dzieci, spokój i dobrobyt.

Tak określa skutki braku mieszkań we Francji  
związek kobiet, postanawiając dążyć do jaknajszere-  
szego zwalczania klęski. Na pierwszym planie dzia-  
łalności postawiły członkinie ciągle uświadamianie  
opinji publicznej o niebezpieczeństwach, wypływa-  
jących z obecnego stanu rzeczy dla szerokich mas  
ludności; dalej, organizowanie tanich spółdzielni  
**mieszkaniowych** (nie budowlanych, obliczonych na  
zyski); wpływanie na samorządy i władze municy-  
palne, aby podejmowały uzdrowotnienie istnieją-  
cych lokali i budowę nowych. Związek stara się rów-  
nież o zmianę ustawy budowlanej i jaknajszersze  
stosowanie t. zw. ustawy Loucheur’a o tanich miesz-  
kaniach robotniczych.

Obok higieny, propaguje Związek i estetykę  
mieszkań, wydając w tym celu liczne broszury.

Dla zainteresowania swą działalnością ogółu ko-  
biet, rozpowszechniono dwie ankiety: jedną do  
mieszkanek miast, drugą do włościanek. W zapyta-  
niach uwzględniono drobiazgowo wszystkie warun-  
ki mieszkań, a więc: światło, suchość murów, czy-  
stość danego lokalu oraz podwórz i schodów, wyso-  
kość i obszar izb, liczbę osób, zamieszkujących lo-  
kal, mieszkania niehigieniczne i mieszkania zasad-  
niczo dobre, lecz przepełnione, lokale własne i po-  
koje odnajęte, kanalizację, oświetlenie i wygody.

Sprawa mieszkania, jako siedziby rodziny, ma dla Francji ważne a specjalne znaczenie z powodu depopulacji tego kraju — to prawda — i najbardziej ważkim punktem działalności Związku jest ten cel: zapewnienie zdrowej siedziby małżeństwom, dla uniknięcia jego bezdzietności — u nas to niebezpieczeństwo nie grozi. Ale też brak mieszkań we Francji nie dochodził nigdy do takich, jak w Polsce, rozmiarów, zdrowotność lokali francuskich stoi też o wiele wyżej; pomimo tego, kobiety francuskie dzwonią na alarm, stawiając akcję mieszkaniową na czele działalności swych najpoważniejszych związków.

Kiedy wezmą się do tego kobiety polskie?

Dziwnie jakoś nie o tem nie słyhać. Interesujemy się już dziś chyba całokształtem rozwoju krajowego, walczymy o zniesienie różnych bolączek społecznych, staramy się współpracować w każdej dziedzinie — przedziwna obojętność panuje tylko w stosunku do tej jednej, tak niezmiernie ważnej. Myśli przecież o niej rząd, prowadzi się jakąś politykę budowlaną, ustanawia specjalne podatki; obradują związki budowlane, samorządy; zakładają się spółki budowlane i mieszkaniowe. Mówimy sobie, że to chyba wystarczy, wiemy wszystko teoretycznie, coś czytamy w dziennikach i... przechodzimy nad tem do porządku dziennego.

Jak wyglądają, choć w przybliżeniu, pewne cyfry, jaki jest projektowany plan akcji dla uzdrowienia fatalnych stosunków, co my, kobiety, możemy zrobić w tym kierunku? Wątpię, czy zdajemy sobie z tego sprawę.

Podług ostatnich danych statystycznych i kosztorysów, zestawionych przez czynniki miarodajne, dla zaradzenia głodowi mieszkaniowemu w Polsce należałoby budować corocznie, przez lat pięćdziesiąt, **60 tysięcy izb mieszkalnych**, koszt ich wynosiłby co rok 757 milionów złotych, na podstawie cen cegły i robocizny w roku bieżącym i przy koszcie budowy 4600 zł. jednej izby w małych domkach czteromieszkaniowych, na peryferjach miast, oraz 8100 zł. w domach blokowych, wielopiętrowych, w śródmieściu. Czynniki, łącznie z amortyzacją, t. j. nabywaniem mieszkania na własność, wynosiłby: za dwuizbowy lokal pierwszego typu 55 zł., drugiego — 110 zł. 50 gr. miesięcznie.

Taki jest ostatni kosztorys Stowarzyszenia Zawodowego Przemysłowców budowlanych.

Cyfry wielkie, nieprawdaz, akcja, zakrojona na szeroką skalę. Jaki może być w niej udział kobiet? Taki sam, jak ogółu obywateli, wzmógłony o całą skalę specjalnego zainteresowania, które kobieta musi poświęcić kwestji swego mieszkania, w którym pracuje i w którym wychowuje swoje dzieci. W Warszawie wypada obecnie na jeden pokój prawie cztery osoby (naturalnie, przeciętnie, są bowiem i takie, w których mieszka po ośm); podobne warunki istnieją tylko w niektórych miastach środkowych Chin.

Czy w tym stanie rzeczy może zdrowo wzrastać młode pokolenie?

A więc, w imię zdrowia i rozwoju naszych dzieci, zainteresujemy się tą sprawą, poznamy ją dokładnie i pracujemy dla jej przemiany.

Program finansowania rozbudowy, określony przez Stow. Przemysłowców budowlanych, opiera się na trzech źródłach: kapitale własnym budującego, pożyczkach hipotecznych i podatku mieszkaniowym; przewiduje nadto utworzenie Narodowego Komitetu tanich mieszkań.

We wszystkich tych działach kobiety mogą i powinny współpracować i zyskać odpowiednie wpływy.

A więc, posłanki i radne powinny brać odpowiedni udział w sprawie racjonalnego rozłożenia podatków. Poleca się tu specjalnej uwadze radnych poruszenie sprawy podatku od niezabudowanych placów. Jest to kwestja poprostu horendalna. Na pierwszorzędnym ulicach Warszawy znaleźć można na każdym kroku niezabudowane, wielkie place, których właściciele czekają na coraz większy wzrost cen ziemi, a czekać mogą spokojnie, gdyż placą śmiesznie małe podatki. Dotychczas nikt nie przeprowadził podwyższenia podatku od pustych, niezabudowanych placów; możeby spóbowaly to zrobić panie radne miejskie — poprzec powinny ich żądania wszystkie stowarzyszenia kobiece.

W sprawie wydobycia, poruszenia kapitałów (jeszcze są, pomimo ogólnego narzekania) i skierowania ich na hipoteki budowlane mogą współdziałać również kobiety, jako adwokatki, doradczynie prawne instytucyj, kapitalistki i członkinie zrzeszeń.

Osoby, mające pieniądze i zdolności finansowe i przemysłowe, powinny pomyśleć o organizacji spółdzielni mieszkaniowych. Może lepiej uda się to kobietom, jeśli wyłączą czynnik spekulacji. Nie zachodziłyby wówczas takie fakty, jak ostatnio w jednej z poważnych instytucyj zawodowych, której spółdzielnia, przy wykończonej już prawie budowie, przeszła naraz z mieszkaniowej na budowlaną, wymagającą wysokich wkładów. W instytucji tej niema prawie kobiet!

Należałoby też pomyśleć o cegielniach, które w najbliższej przyszłości stać się mogą terenem szalonej spekulacji, a których organizacja i zarząd nie wymaga większej „mądrości“, jak każdy inny interes handlowy lub przemysłowy, czy majątek ziemski.

Każda zaś kobieta, nawet nie pracująca zawodowo i nie znająca się specjalnie na interesach, może przyczynić się do akcji budowlanej, gromadząc pieniądze, dla wzięcia udziału w pierwszym punkcie programu finansowego, jako „kapitał własny budującego“.

Dalej pozostaje szeroki teren propagandy, Ko-

mitet Narodowy tanich mieszkań, w którym znów kobiety muszą zapewnić sobie udział i wydatne stanowisko. Do Komitetu wejść mają fachowi delegaci i przedstawiciele instytucyj społecznych.

Niechże więc zrzeszenia kobiece zwrócą na to baczną uwagę, aby ich nie pominięto. Pożądane byłoby bardzo liczne wstępowanie kobiet na architekturę, budowniczych bowiem będzie potrzeba i kobiety - architektki powinny mieć głos poważny w sprawie budowy mieszkań, w których rozwijać

się ma życie rodziny. Nadto, wszystkimi, pozostającymi w rozporządzeniu naszymi środkami, prowadzić należy energiczną agitację, aby tworzone obecnie plany działalności zostały konkretnie i szybko urzeczywistnione.

Jest to zakres pracy olbrzymi. Nie wolno nam pozostać wobec niego obojętnymi. Należy poznać tę sprawę gruntownie, myśleć o niej, dyskutować i pisać, a przede wszystkim działać, aby w tej rozbudowie Polski nas, naszej pracy i wpływu nie zabrakło

Natalja Jastrzębska.

JADWIGA KIEWNARSKA

## APOSTOLSTWO UŚMIECHNIĘTE

Od Powązek jedzie się malutkim i bardzo trzęsącym autobusem. Wewnętrzna atmosfera ciasnego wehikułu przypomina nastrój kresowych kolejek wąskotorowych, gdzie wszyscy pasażerowie się znają i wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Konduktor wie już napamięć, gdzie ma zatrzymać wóz dla kumoszek z koszami, a kiedy dla pana inżyniera z Izabelina. Wie też niezawodnie, kto jedzie do Lasków; wiedzą o tem wszyscy, i tych „państwa z Lasków” otacza powszechna życzliwość, pełna głęboko go szacunku, ale tak miłująca zarazem, że niemal poufała.

Bo też Laski... Ho, ho... Laski!... Co to są właściwie Laski? Klasztor? Tak, klasztor. Zakład dla ociemniałych? Tak jest, zakład dla ociemniałych. Ale to nietylko to — to o wiele więcej; znacznie więcej, niż się da słowami określić, więcej, niż zdoła pojąć człowiek, przybywający z miasta, myślący świeckimi kategorjami i grzeszący w płaszczyźnie pojęć materialnych.

Cóż widzi? Osadę, rozrzucone niewielkie domki, oplecione jesienną czerwienią dzikiego wina.

Jeden wielki dom biały na tle pokrytego sosnowym lasem pagórka. To szkoła. Sień, korytarz, kancelarja, siostry zakonne. Dziwnie piękne. Tak piękne, że się doznaje uczucia głupiego, ściskającego za gardło, żalu. Mnich — w słynnej książce Sigrid Undset, — skarży się, że ludzie oddają na służbę Bożą jedynie dzieci chorowite i ułomne; nie mógłby powtórzyć swojej skargi w Laskach, wobec tych wspaniałych fizycznie i duchowo istot. Wiem prywatnie, że jedna z sióstr chlubnie ukończyła Sorbonę, druga była w świecie rzeźbiarką. Nabyte w życiu świeckim umiejętności służą obecnie świętej sprawie; świetny styl i mądre, rzeczowe oświetlenie sprawy w broszurze o „Ociemniałych w Polsce” jest zasługą siostry-uczony; rzeźbiarka uczy niewidome dzieci lepić w plastelinie nigdy nie widziane, lub zapomniane już kształty.



Śniadanie.



Zabawa na powietrzu.

Zresztą, tu się mówi: „widzieć”, właśnie — widzieć. Siostra - nauczycielka mówi:

— Wczoraj na spacerze oglądaliście różne narzędzia: bronę, sochę, szpadel, grabie... więc spróbujcie je teraz wylepić.

I dzieci, ślepe dzieci. bynajmniej nie wydają się przytłoczone nadmierną trudnością zadania, owszem, w niedługim czasie powstają rydle, grabie i brony, wcale do swych oryginałów podobne. Siostra chodzi od pulpitu do pulpitu, przyzywana niecierpliwymi głoskami żądnych uznania artystów, i krytykuje łagodnie.

— Ależ, Jasiu! te grabie mają za wielkie zęby i za cienki kij; gdybyś niemi zaczął grabić, kij wnetby ci się ułamał.

— Racja! — mruczy zawstydzony Jaś i skwapliwie zabiera się do naprawy.

Nowoprzybyły Staś ma ulepić po raz pierwszy kulę. I rzeczywiście ulepił, bardzo dokładnie, kulę... karabinową. Gdzie ją mógł widzieć? Oczyma, czy palcami?... To tajemnica, której mnie, gościowi, badać nie wypada.

Z bardzo rozmaitych środowisk ściągnęły te niewidome dzieci; większość twarzących zdradza prócz kalectwa i degenerację ogólną. Niskie czoła, grube, niesymetryczne, jakby niedokończone rysy. Bardzo rzadko — miła twarzyczka dziecięca i oczy jasne, którym niepodobna uwierzyć, że nie widzą.

Ale zato ani śladu przygnębienia. Na lekcjach jest wesoło i gwarno. O wiele gwarniej, niżby na to mógł pozwolić rygor normalnego zakładu.

— Bo nam chodzi właśnie o wyrobienie w nich radości, o zwalczanie depresji, wynikającej z kalectwa — mówi siostra Mirjam, służąca mi z anielską ciepłością za przewodniczkę.

Rzeczywiście, po dzwonku, oznajmującym przerwę, wytacza się całe bractwo na korytarz, kosiółkując i kuksając się wzajemnie, zupełnie tak samo, jak ich widzący rówieśnicy. Nieśmiało suną przy



Czytanie systemem Braille'a.

ścianach tylko dzieci nowoprzybyłe, których jeszcze nie nauczono orjentowania się w lokalu pamięcią i słuchem.

Lekcja języka niemieckiego systemem Berlitz'a. Lekkie stuknięcie w drzwi lub ścianę wystarcza, żeby dzieci wiedziały, że to jest właśnie die Thür, to die Wand. Wrodzona ślepcom ostrość słuchu? Bynajmniej! jest to mit, usnuty przez widzących, aby odpędzić natrętą troskę o ociemniałych braci. Ślepotą wcale nie stwarza automatycznie większej wrażliwości słuchu; tę wrażliwość należy dopiero odpowiednio wyrobić i wykształcić.

I jeszcze jedna lekcja: lekcja przyrody, prowadzona przez nauczycielkę ociemniałą. Jest to młoda dziewczyna, wzrok straciła przed paru laty. Wielkie, czarne oczy w świeżej, ładnej twarzączce. Wykłada, chodząc, rusza się żywo i swobodnie; śmieje się wraz z uczniami. Bo też temat lekcji właśnie się zdarzył bardzo zabawny — mowa o owadach: pchły, pluskwy i t. d.... Szalona uciecha! Widziałam już tę panią przedtem w kancelarji; nie wiedziała, że na nią patrzę, i twarzączka jej wydała mi się bardzo smutna. A może mi się tak tylko wydało...

Bo naogół jest tu pogodnie, wszędzie uśmiechnięte twarze, zarówno uczni, jak i wykładowców. Na polance, zarośniętej pachnącym lubinem, korzystając z ostatnich ciepłych promieni jesiennego słońca, bawią się najmniejsze dzieci, te, co są jeszcze za małe do nauki. Najmłodsza, jasnowłosa, kędzierzawa Stefcia łapie mnie bez ceremonji pod kolana, wspinając się na paluszki, sięga bioder i mówi z żalem:

— Nie mogę zobaczyć, jaka ta pani jest wysoka!

— Słuchaj, skąd idzie głos — radzi jej opiekunka.

— Aha, prawda!

Stefcia już się pogodziła z losem, zato mnie znacznie trudniej jest pogodzić się z myślą, że jednak te duże, śliczne, błyszczące oczęta nic nie widzą! I te dziecięce rączyny-macki, ręce-oczy, błądzące po mo-



Nauka rzemiosł

jem ubraniu, wprawiają mnie w zakłopotanie, graniczące ze wstydem. Wstydem, że ja, widząca, jestem tu jedynie ciekawym, a niedyskretnym intruzem: że nie potrafię nic pomóc, na nic się przydać; obawą, aby się nie wyrwać z jakimś niewłaściwym, upokarzającym objawem współczucia.

Jestem w tem swoim uczuciu zupełnie odosobniona. Nie wiem, czy widzący pracownicy Lasków czuli w początkach swej pracy podobnie, jak ja; ale niewątpliwem jest, że się podobnych zakłopotani i wątpliwości musieli wyzbyć gruntownie i doszczętnie. Wzajemne obcowanie ludzi widzących i ociemniałych, osób świeckich i sióstr zakonnych, cechuje wielka naturalność, swoboda i pogodna życzliwość. Tak musieli ze sobą obcować uczniowie Świętego Franciszka, co to miłowali braci-ptaków, i brata-wilka, i wszelkie stworzenie Boże. Promieniuje z tych ludzi spokojna, skupiona radość.

Radość ta musi działać, jak magnes przyciągający, bowiem gromadka pracowników Bożych wciąż się mnoży i rośnie. Wciąż przybywają nowe siostry, wciąż zjawiają się nowi ludzie ze świata, którzy, raz odetchnąwszy powietrzem Lasków, zapominają o swoich sprawach doczesnych i poświęcają swój czas, zdolności i siły miłości bliźniego i służbie Bożej.

Dziedziczka historycznego nazwiska i magnackiej fortuny osiada na stałe w Laskach, aby uczyć niewidome dzieci francuszczyzny i załatwiać korespondencję zagraniczną bractwa. A jest ona rozległa i zaszczytna, gdyż bractwo Matki Czackiej cieszy się szczególniejszą miłością obecnego Papieża, który jeszcze za swej bytności w Polsce miał sposobność poznać i ocenić jego poczynania. Tryskający zdrowiem i siłą, wspaniale rozrośnięty sportsmen zrezygnował z triumfów olimpijskich i prowadzi ćwiczenia gimnastyczne dla niewidomych. Młody inżynier osiadł tu

na stałe, aby pilnować zaprojektowanych przez siebie prac budowlanych. Projekty są rozległe, wykonanie rozsądnie powolne, stopniowe.

Majątek, złożony ongi w ofierze sprawie niewidomych przez hrabiankę Różę Czacką, która to cudem rezygnacji potrafiła ze swego kalectwa uczynić wielką łaskę Bożą dla siebie i innych, dawno już stopniał. A przecie Laski zabudowują się i rozszerzają, pomnaża się zarówno zastęp wychowanków, jak i wykładowców.

Oczywiście, wieleby się jeszcze przydało. Siostra Mirjam, pokazując mi bibliotekę, zasobną we wspaniałe i kosztowne wydawnictwa drukiem Brail'a, wyraziła żal — o, bardzo dyskretny! — że tak mało jest teraz osób, któreby chciały przepisywać książki dla niewidomych, stanowiące źródło tak wielkiej radości. Widziałam i drukarnię, a raczej powielarnię kart, zapisanych systemem Brail'a; ale wzór musi być ręcznie zapisany, czyli nakłuty, a siostry mają tak wiele i tak różnorodnych zajęć!... więc zamierzone wydawnictwo podręczników dla niewidomych posuwa się bardzo wolno. Widziałam i muzeum przyrodnicze: wypchane ptaki i zwierzęta, trochę muszli, kilka udatniejszych wyrobów uczniowskich, ulepionych w glinie... mało, bardzo mało!

Takie tam są zmartwienia i takie radości. Zdrowi służą chorym z zupełnym zaparciem się siebie. Wszystkim przyświeca światło wiary, iż cierniowa ścieżyna życia doczesnego prowadzi prosto w słońce chwały wiecznej.

— Przez krzyż do nieba — tak brzmi braterskie powitanie tych, co mieszkają i pracują w Laskach. Powitanie, wymawiane bez cienia patosu.

Czeka maleńki, zakurzony autobus. Trzeba wracać. Laski leżą tylko o dziesięć kilometrów od Warszawy. Tak blisko — a tak daleko!

MARJA KOSSAK-PAWLIKOWSKA

## DEKORACJA

*Czuję cię, wojenną ranę,  
ranę trwalszą, niż krótkie zwycięstwo — — —  
Po nocach odzywasz się często;  
na miatr mnie szarpiesz, na zmianę.*

*Bolisz mnie bardziej nad morzem,  
mniej w górach — strasznie na wiosnę —  
O, z tego już nie wyrosnę,  
na to już nic nie pomoże.*

*Byłam wspaniałym żołnierzem,  
i los mnie zało odznaczy.  
Na sercu odważnem, na bliźnie rozpaczy,  
położy mi ciebie, wysoki orderze.*



HERMINJA NAGLEROWA

30)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

CZEŚĆ III.

XXX.

Mroźna, beśnieźna zima trwała od końca października. Blask słońca, zakrzepły na wysokich piętrach, rozjaśniał górą ulice, ale dołem siniał ołowiany cień. Przechodnie następowali ciżbą, jak spłoszone stado; po wyświeconej jezdni potykały się konie, samochody splatały się i rozplatały, niby czarny warkocz, a tylko tramwaje szły bezpiecznie po zgrzytliwych, piaskiem posypanych szynach. Na węzłach ulic policjant walczył rytmicznie z wichurą i łyskał przekrwionemi oczyma, coraz to w inną stronę nastawiając pierś i twarz, poparzoną zimnem. W gałęziach klonów furkotały jakieś ostatnie czarne liście, niby patuszki, uwiązane za nóżki.

Dopiero w nocy stawało się miasto weselsze od światła latarń, od reklamowych zygzaków i mrugań. Za wieżą dworca, wysoko na czarnym niebie drwiące lampki sylabizowały likier Mikolascha i czekoladę Wedla. Na narożnikach Alej przebiegały litery, nakształt niestrudzonych karzełek, ogłaszając świetliste rewelacje o futrach, ubiorach, ratach. Czarodziejstwo kinoteatrów wypalało oczy i aż na trotuar wybiegła olbrzymia ponad ludzką miarę Liliana Gish, wzruszając błada i nieszczęśliwa.

Nastawiony kołnierz palta ledwie sięgał uszu Franka, tulących się rozpiekłą czerwienią do brzegu białej studenckiej czapki. Franek śpieszył się teraz zawsze, bo jego zajęcia rozsypane były po mieście i tylko pośpiech kroków łączył je z sobą w całość dnia. Wykłady, korepetycje, koleżeństwo, czasem wiece krzykliwe, albo gadatliwe posiedzenia, czasem kawiarniane siesty — wszystkiemu trzeba było poddać w czasie i w pojemności zainteresowań.

Zaledwie oto minął „Tydzień Akademika“, kiedy nawoływaniem smagało się ulicę, niczem Darjusz morze. Werbowano przechodniów zręcznym konceptem i rykiem megafonów, aby niczyja dłoń nie splamiła się skąpstwem. Nocą ruszały na miasto maskarady w szeleście papierowych kostjumów, zmieniano twarz i pleć, a ktoś, nie bacząc na dostojeństwo swojej historycznej szaty, arlekinował ku uciezce gawieździ. Natłoczone platformy pędziły ulicami, niby wozy strażackie, śpieszące na miejsce pożaru — i tak szła zabawa ze śmiechem i wrzawą ku ważnemu celowi. Komitet huczał potęgą, więc wyznaczone dyżury odbywały się pod grozą infamji, a spory polityczne musiały ustać wobec sprzedaży losów. Pomieszały się różnobarwne mycki korporantów i białe rogatywki z melonikami luzem chodzących strojnisiów, z kapeluszkami studentek. Treuga Dei przetrzymała

tydzień, aby potem znowu mogła z ulgą odetchnąć zaciekleść partyjną.

Franek współdziałał z entuzjazmem, poprostu szalał na rogach ulic, wywołując loteryjne szanse, niby fachowy przekupień na bulwarach. Dziś jeszcze chrypiał, jak saksofon, a właśnie za parę dni ma się odbyć turniej poetów na uniwersytecie i trzeba będzie tym odrażającym głosem odczytać swoje wiersze.

Do zawodu stawały: Warszawa, Lwów, Kraków, Poznań, Wilno. Listopadowy, psotny wiatr szarpał się już od tygodnia z żółtymi afiszami, głoszącymi ludziom dobrą nowinę o młodych poetach. Gdy afisz całą płaszczyzną przywierał do oczu, serce nabrzmiewało krwią i kurczyło się nagle, jak pęknięty balon. Wzrok czempredziej odbiegał od własnego nazwiska, zawstydzony tą jawnością, która może będzie publiczną klęską, a powinna stać się zwycięstwem.

Były jednak jeszcze inne powody, które podniecały Franka. Na afiszu czernił się imieniem i nazwiskiem delegat lwowskich poetów — Maciej Wawar — i w niego to godziła nietylko zawodowa niechęć. Odrazu, niby na fotografii, zamglity się tłem Stawy Rudziańskie i Żarnówka, więc musiało się wspominać, jak to się szło nocą, jak się czał krok niespółmierny z zuchwalstwem pożądań. Bo choć Franek żył teraz ważnym, śpiesznym i rozumnym dniem miasta, tamte sprawy nie były jeszcze ze szczeniem zapomniane i czasem zniecka rozgrzewały się wstydem, a czasem nawet rozwlekały się tęsknotą. Nibyto szedł Franek ku coraz innym wydarzeniom, tworzącym się tylko dla niego, nibyto nie oglądał się za siebie na pobożewisko kłęski, a jednak dopędzało go przypomnienie, aby kroczyć obok, jak natrętny towarzysz.

Gdy Franek wrócił do Warszawy z Kaliniec, dom matki był, jak sanatorjum, cichy i zdezynfekowany z zarazków. Dzień przepływał łagodnie ku wieczorowi, nieobciążony wydarzeniami, a matka, błada od jakichś smutków, szemrała słodkim głosem, niby siostra miłosierdzia. Nastąpiło wtedy między synem a matką porozumienie ściślejsze, niż kiedykolwiek. Pierwsze dni wydawały się jakby powrotem do dzieciństwa i można było nie powstrzymywać płaczu, skoro właśnie lzy sprawiały ulgę. Matka chciała zresztą wiedzieć o wszystkim i pytaniami dogrzebywała się do prawd, przedtem niedostrzegalnych. Jakiemś słowem, zdawałoby się, nieznaczem naświetlała fakty, a czasem wystarczał złośliwy uśmiezek, aby przecucie i domysł stawały się już niezbitą pewnością.

Wśród tych rozmów z matką przetwarzały się przeżycia kalinieckie, niezem związki chemiczne, zmieniające barwę za dodaniem kwasów. Franek dostrzegał sam w sobie to nagle przeobrażanie się pojęć, to mężnienie wobec najdotkliwiej odczuwanych krzywd. Jeszcze tylko trochę łez, trochę rozżaleń, aby już nigdy potem nie było takiego niedołęstwa. Inne stawało się teraz powietrze, wyrazistsze kontury i bardziej jaskrawe barwy. Odrazu wykreślał się kształt i wewnętrzna treść, a przejrzystość ujmowania wszystkiego — prawie przerażała. Jakgdyby się miało przy oczach powiększające szkło, jakgdyby roentgenem przeświećtało się każdą sprawę, aby dostrzec ciemne punkty schorzeń.

Wtedy nastąpiła faza samouwielbienia, bezustannego podziwu dla swojej mądrości i wnikliwości. W czterech ścianach pokoju można było rozplanować cały świat, całe swoje przyszłe życie według apodyktyzmu samotności. Nikt w tym czasie nie był potrzebny, ani pomocą, ani radą, bo ledwie można było nadszperzyć samemu sobie, swojemu rozpędowi, swojemu twórczemu nienasyceń. Dnie były wypełnione pracą, wzburzone chaotycznością zamiarów. Do tych spraw nie miała już matka dostępu i wcale niepotrzebne było, aby uczestniczyła w tem wewnętrznym dzianiu się. Musiała więc zadowolić się tylko skąpejmi słowami, ale przyjmowała je zgodliwie, nie żądając od syna więcej, niż jej chciał użyć. Franek, niby gracz bez partnera — jednocześnie wygrywający i sam sobie dający mata — wprawiał się teraz w dyskusyjne sofizmaty, zachwycony bystrością samego myślenia i swoją wielostronnością.

— Zmieniasz projekty bodaj parę razy na dobę — mówiła matka, nie domyślając się, że te zmiany są wynikiem coraz to nowych, jakby w marszu biegiem — osiągniętych rekordów. Był to w istocie pracowity trening, dający zadowolenie z osiągniętych rezultatów. Już chciało się z kimś zmierzyć, aby doświadczyć swojej wartości, już trzeba było, aby się coś stało, żeby móc okazać swoje męstwo.

— Tylko, proszę, nie mi nie doradzaj, bo sam wiem najlepiej! — spierał się z matką.

W samotności, jak w wielkim, jasnym laboratorium, pracował Franek nad sobą i takim właśnie odludkiem zastał go Adonis, który w tydzień później zjawił się w Warszawie. Przyszedł do Franka, szumiący wesołością, sypiący projektami, aby jakoś dokończyć te popsute ferie. Janek nie miał wcale szacunku dla mądrości przyjaciela, nie chciał nawet słuchać tego, co mu to rozpowiadał o ludziach, świecie i o sobie. Raczej trochę podrywał, że Franek siedzi w swoim pokoju, jak żyd na pokucie i że uprawia żalobę po kalinieckiej klęsce. A gdy tak przyniósł z sobą zapach sierpniowej pogody, gdy tak śmiechem i

głupstwami pokalał kontemplacyjną wzniosłość, Franek uległ jego kuszeniom. Reszty dokonały słoneczne sierpniowe dnie.

Przy klombach, obrysowanych cynobrową barwą pelargonij, zaprzysięgli sobie przyjaciele, że życie jest piękne. Był to jakgdyby nowy przerzut Franka w rzeczywistość. Ścieżki w Łazienkach i w Parku Skaryszewskim wiodły bowiem ku śmiesznym przygodom, a panienci, czytające Ehrenburga, odznaczały się prostotą ducha i wcale nie myślały o srogiej zagładzie Europy. Janek mawiał zwyczajnie — randka — a to był właśnie taniec dzikich wokół ogniska i miłość pożerało się na surowo. Adonis dźwigał wprawdzie jeszcze balast Jadzinych uczuć, ale nie ugiął się zbyt pod ich ciężarem. Zresztą Franek już się niczemu nie dziwił, nie potępiał, nie „wściekał się“. Bo co jest ważne, co nazawsze wiążące? Poznał już przecież swoją zmienność i wielką mądrość przemijania.

Ciemnoniebieskie niebo owijało czuby drzew, a w cieniu był zawsze w pogotowiu czyjbaż przyzwalający uśmiech. Więc z szablonu rozmowy wynikały te wszystkie emocje, te najprostsze flirtowe intrygi, które kończyły się nagle i bezboleśnie. Conajwyżej trzeba było zmieniać teren działania i na czas jakiś w Parku Ujazdowskim prawić dusery matkom, wyprowadzającym w świat swoje niemowlęta, albo na plażach mieć bezpośredni dostęp do wdzięków.

Z parków wymiotła donżuanów jesień, i gdy świat zakisł od deszczów, Janek wyszukał szynczek nad Wisłą i jakichś kompanów do kart. Na lepiącej się ceracie hazardowano przez długie godziny i tylko czasem stłumiony plusk Wisły przypominał o świecie, pachnącym deszczem. Gwizd parowców dopadał ich, tak siedzących w najciemniejszym kącie, więc na chwilę podnosili głowy, aby zobaczyć rudy dym, przesuwaną się leniwie po szarem niebie. Ktoś świadomy mówił wtedy: — odjechał „Bałtyk“, — a od bufetu szła warszawska mowa, dowcipna i złośliwa, warczało rybackie i marynarskie najgrubsze słowo.

Potem poszło już wszystko pokolei wedle terminów, obwieszonych na korytarzach uniwersytetu. Franek zapisał się na „polonistykę“ i z kajetami pod pachą chadzał na wykłady, jeszcze trochę zażenowany, jeszcze jakby bez miejsca i prawa wśród koleżeńskiegó gwaru. Zczasem jednak ulokował się w ławce, nawet scyzorykiem wyciął swoje inicjały na znak, że to właśnie miejsce bierze w posiadanie. Gdy się już było osiadłym obywatelem „uniwerku“, można było rozpatrzeć wszystkie twarze, o każdej coś sobie pomyśleć dobrego lub złego, można już było rozróżniać głosy sąsiadów, ocenić urodę koleżanek, ścisnąć jakieś ręce i mówić o sprawach znajomych, bo codzien-



M. H. SZPYRKÓWNA

## OD AFRYKI DO POLSKI

Ostatnio zdarzyło mi się zetknąć z niezwykłym w Polsce gościem. I sędzę, że egzotyczne to spotkanie zainteresuje szersze koła kobiet, bo jest to także kobieta.

Ba! Jest nawet — kobietka. Patrząc na to drobne i wdzięczne stworzenie, naprawdę trudno uwierzyć w te wszystkie rzeczy, które przeszła, i w ten tryb życia pioniersko-koczowniczy, jaki prowadzi. A jednak przeszła i prowadzi, i przytem — jest najszczęśliwsza z tego, że tak jest.

To — polka. Jedna z tych, które wojna rzucała tu i tam po międzynarodowym terenie, aż wreszcie, jakgdyby się ulitowawszy, ostrożnie doprowadziła do pewnej przystani: do małżeństwa. I to właśnie egzotycznego: wyszła zamaż za Anglika, i to nie za byle Anglika, a za jednego z zastępców rządu angielskiego na głębokich kolonjach afrykańskich. I nasza mała rodaczka spędza z ośmnastu miesięcy, które stanowią jednorazowe urzędowanie jej męża na czarnym lądzie, kilka wraz z nim, poczem razem jadą na przysługujący urzędnikowi kolonialnemu tej rangi pięciomiesięczny urlop do kraju. Kraje jednak ich są różne: dla jednego — Anglja, dla drugiego — a ściślej dla drugiej — Polska. Toteż, spędziwszy pięć miesięcy z mężem, młoda kolonizatorka przyjeżdża na drugie cztery do swojej ojczyzny — Polski. I tu, wchłaniając najgoręcej życie ojczystego kraju, jest zarazem najgorętszą rzeczniczką swojej drugiej ojczyzny brytyjskiej, która w jej oczach jest ostatnim wyrazem sprawiedliwości, doskonałości i humanitarnych rządów nad kolonjami. Czy gorąca miłość dla męża wpływa częściowo na ten zapal, czy też budowany jest na niezależnych podstawach — nie podejmuję się określić.

Pomimo wszystko, co wiem o Anglji z pism, książek i polityki — a byłyby w tem i cienie — trzeba poznać osobiście naród, o którym wydaje się osąd, aby ten osąd był bez krzywdy i bez przesady w tę czy inną stronę. Nie miałem tej sposobności. Marzę gorąco o tem, aby w jakibądź sposób móc spędzić w Londynie lub innem dużem mieście dwa lata dla moich osobistych literackich założeń: niewątpliwie wtedy pobocznie utworzyłabym sobie i własną opinię o prawdach i nieprawdach słowa drukowanego. Zresztą, pozatem trzeba pamiętać, że rząd żadnego państwa nie reprezentuje ściśle jego istotnych cech, jako narodu, tak, jak naprzykład szpony nie stanowią wyłącznej cechy orła; ma inne. Jednak zdanie naszej rodaczki sprawiło to, że raz jeszcze doszłam do wniosku, że o wiele zamało znamy się z Anglją, jako narody. A przecież niewątpliwie byłby to szczęśliwy amalgamat usposobień i ras: wszystko, co w nas

jest marzycielskie i lotne, uzupełniłoby się znakomicie brytyjską ścisłością i wytrwałością, żeby pominać już cechę, wyrażoną jedynie Anglji właściwem i na żaden język nieprzetłumaczalnem słowem: — gentleman.

— Ileż liczebnie ludzi należy do okręgu męża pani? — interesuję się na wstępie. Pamiętajmy, że ludzie ci — to murzyni, i jak trudy wojny liczą się na lata podwójnie, tak rządy murzyńskie muszą być conajmniej poczwórnie kłopotliwe.

— Sto dwadzieścia pięć tysięcy, a z tego — kilkanaście tysięcy ludożerców. Jeździmy z mężem na objazd dwa razy miesięcznie, i zawsze proszę, żeby mnie zabierał ze sobą.

Sapristi! Osobiście nie czuję zapalu do takich wycieczek. Jeżeli już być zjedzoną, to przynajmniej przez znawców.

— I nigdy pani nie zjedli?

— Nie! Już nie! Ale zdarzają się jeszcze wypadki, i wtedy właśnie mąż mój musi odbywać sądy. Kary śmierci Anglijcy nie stosują. Ale wygania się wtedy wioskę z ich osiedli i pali się chaty. Zdarzyło się, że jednego z urzędników takich, jak mój mąż, zabito i...

— Wyobrażam sobie, znając charakter angielski, że musieli za to gorzko zapłacić. Wielu murzynów zginęło za jednego Anglika, i to, ba! zastępcy rządu?

Moja interlokutorka z zapalem macha ręką.

— Nie! Nie! Anglja jest na to za szlachetna, takich rzeczy robić nie wolno! Wtedy otacza się zbuntowany szczep i trzyma w zasadzce póty, aż się poddadzą, ale broni palnej używać nie wolno, chyba w obronie własnej. Rząd bardzo, bardzo przestrzega zgody z krajowcami i tego, żeby wierzyli istotnie w sprawiedliwość państwową Anglji. Mąż mój ma nieraz wiele zmartwień i kłopotu, ale oręż, nigdy!

Przypuszczam, że moja informatorka mówi w dobrej wierze, zwłaszcza, że nie jestem pewna, o ile Anglijscy zastępcy polityczni wtajemniczają kogobądź — nawet własne żony — we wszystkie arkana swoich pełnomocnictw. Porzucamy więc ten temat.

— A jak wygląda, mieszka i ubiera się kobieta murzyńska z tych szczepów? Czy pani z niemi się styka? Co o ich życiu pani wie?

— Stykam się, oczywiście. Podróżujemy z mężem na objazdach razem, zatrzymujemy się po wioskach i przychodzą do niego ze skargami i sporami, które rozstrzyga. A ja, naprzykład, powinnabym umieć wogóle wszystko na świecie, żeby być godną towarzyszką zastępcy politycznego na kolonjach



angielskich. Trzeba umieć leczyć, bo choroby są tam straszne i zaniedbane, ale medycyna europejska już bardzo przekonała krajowców. Opuszczają więc swoich znachorów i wiedzmy, i ciągną po radę i ratunek do Europejczyka. Kobiety szczególnie cierpią ze względu na niebezpieczeństwa, związane z macierzyństwem, ciążą i sposobami jej unikania. Pod tym względem barbarzyństwo jest tak straszne, że narazie nic, tyłkoby płakała, patrząc, co się dzieje. Jest nas za mało na taką wielką ilość murzynów: ja, mąż i dwaj misjonarze, którzy są wprost bohaterami, czy apostołami, nie wiem! Własnymi rękami budują szkoły, szpitale, jeżdżą, nawracają, narażają się, chorują i są, mimo to, nigdy niezmordowani i nigdy niewyczerpani. My tu nawet pojęcia nie mamy, w jakich warunkach pracują. Przecież tam nie ma nic: przyjeżdża człowiek, i jest piasek, wydmy i pustynia, z wrogimi białymi osiedlami murzyńskimi, z których każdej chwili może wylecieć chmura zatrutych strzał na śmiałków, odważających się wkroczyć w ich życie. A jednak wkroczyć trzeba, bo poto tam jesteśmy.

— A jakież tam jest rodzaj rządów, jeżeli jakieś wogóle są?

— Są. Rządzą królikowie murzyńscy, nad którymi dopiero jest kontrola Anglii, względnie, mego męża. Królikowie ci sprawują sądy i zbierają daniny, a zawsze kierują tak, aby zebrać niesłusznie więcej i pokradać swoich poddanych z... żon. No, i trzeba czynić sądy i naprawiać bezprawie.

— Więc żony tam jednak mają popyt?

— Królikowie mają swoje wyposażenie rządowe. Przysługuje im pewna ilość straży honorowej, harem w dużej ilości, lepsze mieszkanie i inne przywileje. Ale ambicje mają jeszcze większe, że szkoda swoich poddanych, tak, że urzędnik angielski musi nieraz interwenjować.

— A jak są ubrane kobiety, jeżeli wogóle są?

Młoda pionierka śmieje się wesoło.

— Jak w raj: listki! Nie, poważnie mówiąc,

to istotnie okryte są tylko w pasie wieńcem z liści, ale plotą je bardzo misternie i codziennie zmieniają na świeże. Dochodzą w tem do dużej wprawy i wygląda to wcale ozdobnie. A co do stroju pozatem, składa się z najnieprawdopodobniejszych kombinacji gałganków i szczegółów europejskiej garderoby, co wygląda przekomicznie. Oni jednak są bardzo z takich ozdób dumni i za byle świecidełko można tam nabyć wyroby nierównie cenniejsze.

— Ale gdzie i jak?

— Są jarmarki po większych osiedlach i miejsca targowe, jak u nas. Pieniądze tam są znane. Murzyni pielęgnują niektóre gatunki zboża i roślin, wywożą z pomocą rządu, który popiera eksport, i zarabiają. Rząd angielski usiłuje za krajowe pieniądze wprowadzać inwestycje. Mamy, naprzykład, piękne i bardzo kosztowne drogi po całym kraju, tam już, dokąd kolej nie dochodzi. Od kolei osobście jadę około pięciu dni w głąb kraju konno, autem, czy motocyklem, zależnie od ich udostępnienia.

— A od czegoż to udostępnienie zależy?

— Od pory roku i od miejscowości. W górach są miejsca, gdzie za ledwie koń z trudem może się przedostać. Czasami — i często — idziemy z mężem pieszo, a słudzy niosą bagaże, z moją wanną włącznie. Bez wanny nie moglibyśmy, my, biali, tam żyć ani dnia. A znów deszcze jesienne i powodzie są tam tak gwałtowne i częste, że co roku szosy muszą być na olbrzymich przestrzeniach odbudowywane ogromnym kosztem. Czasami podróżuję w palankinie. Czasami urządzamy polowania na dzikie zwierzęta, i raz musiałam uciekać przed lwem na drzewo. Ach, tyle byłoby do opowiadania, że nie mogę od razu skupić myśli.

To prawda: materiał jest bogaty. I wobec tego, zastrzegłszy sobie nowe spotkanie, dziękuję mojej informatorce z kraju ludożerców za już, i proszę o jeszcze, wiedząc, że już samo słowo: — Afryka — w Konotopie czy Pińczowie ma swój wielki czar.

Czy nie tak?

## NA MARGINESIE OSTATNICH WYSTAW

Wszelkie hasła i zawołania „uniwersalistyczne” — jeśli tak wolno powiedzieć — pospólne, skupiające — szczególnie aktualne zdają się być dzisiaj, kiedy ostatecznie poczucie zbiorowości jest bodaj silniejsze, niż kiedykolwiek, kiedy anty-indywidualizm narzuca się, jako twarda, okrutna, lecz organiczna niemal konieczność, kiedy sztuka i twórczość — po wybujałym kulcie odrębności, jednostkowości — uciekają się pod skrzydła „idei przeciwstawnej”.

Nigdy nie było takiego pędu do zrzeszania się

do występowania pod wspólnym sztandarem — właśnie na terenie sztuki — jak obecnie. Każdy niemal malarz należy dziś do jakiegoś ugrupowania — i jest w tem jakiś głęboki instykt, który każe szukać ochrony „w wielości” nie tylko ze względu na interesy ekonomiczne, czy społeczne, lecz także przez owo organiczne poprostu związanie z tą „wielością” w sensie samej twórczości, przez wycucie, że w tej chwili droga wiedzie właśnie poprzez **wspólność wysiłków**. I otóż tu zdaje się tkwić rdzeń sprawy. Tam, gdzie owa wspólność wysiłków jest wspól-



Jan Zamojski — „Wygnańcy 1915 r.“

czynnikami rozwoju, gdzie warunkuje ciągle wyrastanie, nieprzerwane wywodzenie się nowych faz i nowych wartości — tam takie zamknięcie się, takie wyodrębnienie (gdyż wszelkie ugrupowanie, czy zrzeszenie — to zarazem pewne ograniczenie, eliminacja) jest słuszne, jest wewnętrznie umotywowane, jest — artystycznie celowe. Gorzej, gdy takie ścisłe odgraniczenie się od reszty śmiertelników nastąpi na gruncie pewnego, przyjętego już i ustalonego szablonu malarskiego, na zasadzie korzystania z jednej „klanowej“ recepty, którą się później poprostu odcyfrowuje tylko z małymi warjacjaami: z boku, z dołu do góry, wskos... i t. d. Gdy żywe i elastyczne hasło przeradza się w skostniały kanon; gdy z młodego związku artystów, pragnących osiągnąć jeden i ten sam cel zapomocą bardzo różnych i zmiennych środków, robi się zmurszałe akademickie kolegium...

„Bractwo św. Łukasza“ stoi dzisiaj na niebezpiecznej drodze. Ostatnia wystawa tych młodych, częstokroć tak zdolnych, tak ładnie rokujących nadzieje, malarzy — wskazywałaby raczej na bardzo dla nas przykry skręt — właśnie w kierunku owego kostnienia, owego uporczywego zasklepiania się pod jednym wygodnym, doskonale wszystko, co potrzeba, oceniającym baldachimem. Baldachim zrobili sobie członkowie „Bractwa Łukasowego“ z — techniki malarskiej. W tym kierunku dochodzą do rezultatów istotnie niezwykłych na naszym i nietylko na naszym gruncie. Każdy z nich może „podrobić“ jakiegoś starego mistrza — najchętniej jakiegoś niderlandczyka z XVII wieku — do złudzenia. Baldachim stanowczo jest w doskonałym gatunku. Ale co się dzieje pod baldachimem?

O cóż chodzi? O namalowanie jeszcze jednego obrazu religijnego w dawnym stylu? — Dwie są drogi dla malarza współczesnego. Jeśli chce dać wyraz

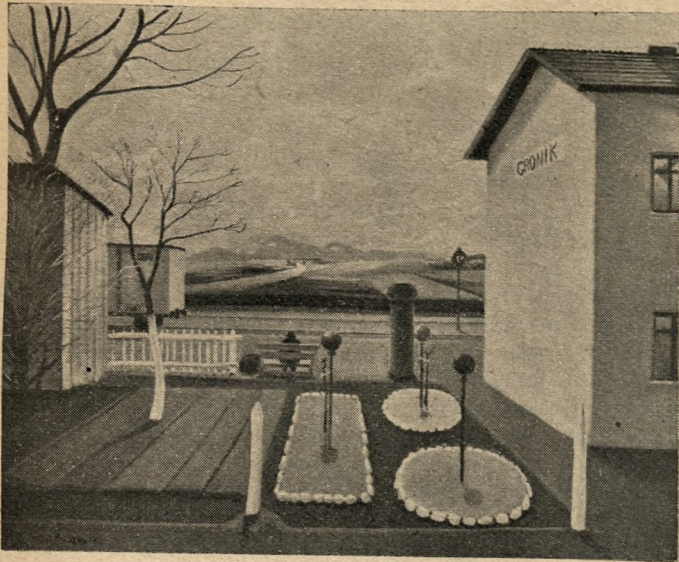
prawdom odwiecznym, monumentalnym, niezmiennym — a więc np. religijnym — musi je ubrać w nową, własną, przez siebie wypracowaną formę; lecz gdy koniecznie użyć chce starej formy, musi wlać w nią nową, nieznaną jeszcze treść. Bo inaczej — pocóż wogóle maluje? Każdy przecież będzie wolał obejrzeć sobie obraz autentyczny wielkiego mistrza z przed setek lat, niż najlepiej nawet wykonane dzisiejsze jego odbicie... Bo w pierwszym będzie się czuło wewnętrzną konieczność, a w drugim — pustkę pod baldachimem... To samo dotyczy t. zw. „scen rodzajowych“, różnych wielkich „kompozycji“ i t. d.

Zbyt duże talenty wyczuwa się u członków „Bractwa“, by można było tak łatwo przejść do porządku dziennego nad tem niezrozumiałem samoobożeniem się. I gdy się widzi, jak ci artyści, tak przecież młodzi, mający takie przed sobą możliwości (takie mocne talenty, jak Michalak i Gotard, przedewszystkiem), grzęzną w jakimś bezsensownym archaizowaniu, podrabianiu, podglądaniu prawd, dawno już zdobytych i w męce niegdyś na świat wyrzuconych, zamiast samym nowe prawdy, nowe formy, choćby złe, ale żywe, tworzyć — gorczy dyktuje może zbyt ostre słowa. Ale gorczy jednak — uzasadniona.

Od ogólnego tonu wystawy odbija Jędrzejew-



Janusz Podoski — „Portret“



Rafał Małyszewski — „Stacja kolejowa“.

ski, malarz o dużej kulturze kolorystycznej, który w swych poszukiwaniach barwnych idzie po linii postimpresjonizmu francuskiego.

\*

Parę dziesiątków obrazów Rafała Malczewskiego w Salonie Garlińskiego budzi radosny optymizm.

Jakiś zdrowy, świeży powiew wnoszą do sali wystawowej te żywe, barwne płaszczyzny. Zamknięty w nich jest świat, widziany przez kogoś całkiem „po swojemu”. Takie się ma wrażenie, jakby ktoś, bardzo jeszcze młody, usiadł sobie na górze i wylizował wszystko, co tam widzi na dole: pokrajane pola, pastwiska, nad nimi góry... W dolinach chaty, ogródki i ludzie. A to wszystko starannie podzielone i ostrożnie ustawione obok siebie. I okazuje się, że wszystko doskonale się trzyma razem, bo każdy kawałek pływa sobie w kolorze, który właśnie dla całości najlepiej się nadaje.

To są ogromnie miłe rzeczy, naogół jednak nie wnoszące jakichś specjalnie nowych pierwiastków — po dawniejszych obrazach Rafała Malczewskiego, które już mieliśmy sposobność parę razy oglądać. Czuje się w tem wszystkim pewne jakgdyby zacierpnięcie oddechu, jakgdyby wykonywanie ćwiczeń — przed biegiem na wielki dystans. Niewiadomo, co będzie znamionowało dalszą fazę twórczości tego, tak interesującego artysty: bo nie chodzi tu tylko o ogarnięcie jakiegoś szerszego tematu (wyjście z Podhala?), spojrzenie nowe i czujne wogóle na cały świat i jego sprawy; lecz o rozszerzenie środków formalnych, o wydobycie nowych **możliwości wyrazu**. Obrazy takie, jak „Odwilż” — bardzo interesująca w swym pewnym dynamizmie płaszczyzn i odrębnym nieco kolorycie — oraz doskonały „Wiatr halny” — zwiastowałyby może już pewną odmianę w podejściu do tworzywa artystycznego. Pełni ufności — czekamy.

l. j.

## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Widma” Moniuszki w Operze.

Moniuszko, pisząc muzykę w formie oratorjum do drugiej części „Dziadów” Mickiewicza, przeznaczył ją właściwie i jedynie dla estrady. Niema, bowiem, w „Widmach” miejsca dla scenicznej interpretacji, a dla dramatyczności kantaty nadają się doskonale ramy sali koncertowej.

Każda inscenizacja „Widm” wytwarza sztuczny, przesadny, a przede wszystkim nudny nastrój, o makabrycznym skupieniu. A jednak druga część „Dziadów”, o niezaprzeczonej w dramacie sceniczności, w pojęciu romantycznym, z chórem, solami i zespołami, które, jako pomysł muzyczny, świetnie wychodziły w deklamacji, zdawała się być doskonałym materiałem na dramat muzyczny o fantastycznym zabarwieniu.

Początkowo interpretowano „Widma” na estradzie, stosownie do formy, stworzonej przez kompozytora, a w kilka lat później wystawiono kantatę Moniuszki poraz pierwszy w teatrze lwowskim. Od tego czasu „Widma” ukazywały się pod dwiema postaciami: w formie scenicznej i estradowej, z których ostatnia przedstawiała się zawsze daleko wdzięczniej, aniżeli inscenizowanie w teatrze.

Druga część „Dziadów”, przemawiająca siłą romantycznej formy i wiersza, mało efektów przeznaczona dla ruchu i barwności scenicznej. Dlatego fantastyczność „Widm”, wystawianych dawniej w warszawskiej operze w dniu zadusznym, a wznowionych obecnie, nabiera raczej wyrazu pretensjonalności, aniżeli wartości scenicznej i nie budzi zainteresowania.

Muzyka „Widm” jest łatwa i melodyjna, a tak prosta i szczerą, jak cała twórczość Moniuszki. Jest pogodna, niema w niej nic z niesamowitego nastroju obrządku „Dziadów”. A jeśli niema w „Widmach” miejsca dla reżyserskiej pomysłowości, czy nie lepiej wykonywać je na estradzie? „Widma” mają tam swoje mocne miejsce, jako oratorjum, gdy w teatrze nie są niczem innym, jak kantatą dramatyczną na scenie.

Tym razem inscenizacja „Widm” była pomysłem Adama Dołżyckiego, wykonana pod jego dyrekcją. Na półciemnej scenie, bez dekoracji, rozmieszczono chór amfiteatralnie; na przodzie guślarz a z pod stropu wychodzą głosy zjaw. Modlitwę z kaplicy słyszymy na widowni przed podniesieniem kurtyny. Orkiestra przykryta i scena ciemna, prawie zastygła w bezruchu, tworzą niewątpliwie nastrój o tyle żalobny i stosowny na dzień zaduszy, o ile nudny i pretensjonalny w każdym innym czasie, a więc niezgodny z muzyką Moniuszki. Zjawy śpiewają napewno daleko lepiej, jeśli mają bliższy kontakt z orkiestrą i dyrekcją. Najlepsze wrażenie sprawia chór, przygotowany starannie przez Sillicha.

Niezależnie od połączenia sił śpiewających i dramatycznych, pomysł wystawienia „Widm” w operze jest zupełnie chybiony, jako że nie daje nowych efektów scenicznych, a przeto nie wypełnia operowego wieczoru. Trzyma się publiczność półtorej godziny w przygnębiającym, mrocznym nastroju i na tem koniec. Widownia ma inne wymagania, zresztą zupełnie słuszne. Byłoby stanowczo lepiej, gdyby dyrekcja opery ekspensowała energję w kierunku wystawienia oper, zapowiedzianych na początku sezonu. Nieudale, a szczególnie nieaktualne przedstawienie — to strata czasu i pieniędzy, których nie mamy dziś w Polsce zbyt wiele.

P. L.

## Moje biżuterje.

Mam lśniących perel równy rząd  
W usteczkach, jak korale:  
Używam ŻAKA „HEZADONT”  
ELIKSIR, PASTĘ stale...

207

## Z KSIĄŻEK

„Regula świętego Ojca Benedykta” — według wydania, drukowanego w Wilnie z r. 1667. Warszawa — Kolo Studjów Katolickich. N. C. M. XXIX.

Znowu piękna, z bibliofilskim pietyzmem wydana książeczka, ze znajomym już z poprzednich ex-librisem J. Rosena i subtelными winietami Fr. Siedleckiego.

Treść przenosi nas w środowisko i epokę tak odmienną od wszystkiego, co nas otacza, że chwilami wydaje się fantasmagorją askezy. Choćby owe dwanaście stopni pokory, zalecanych mnichom, co za kontrast ze snobizmem, którym nasze czasy aż do szpiku nasiąkły! Albo ta lista siedemdziesięciu czterech dobrych uczynków, z których każdy niemal jest przełamaniem natury ludzkiej. Wreszcie cały szereg przepisów karność klasztornej, szczegółowo ustalających stosunek braci między sobą, obowiązki opata, rozkład dnia i t. d.

Przepisy te, przy całej swej surowości, zdumiewają chwilami pierwszorzędnym zmysłem organizacyjnym i znajomością duszy ludzkiej. „Jako jest żarliwość gorzkości zła, która od Boga oddala, a do piekła prowadzi, tak też jest żarliwość dobra, która od występków odwodzi, a prowadzi do Boga i do żywota wiecznego”.

Wreszcie, z istic chrześcijańską pokorą święty twórca Reguły wyznaje, „że się w tej Regule nie wszystko sprawiedliwości zachowanie zamyka”, „albowiem któraż karta, albo które słowo pisma Bożego, tak starego, jako i Nowego Testamentu, nie jest prostą Regulą żywota ludzkiego?”

„Regula” została wydana specjalnie na upamiętnienie uroczystości ku czci św. Benedykta, w d. 16/XI, na którą złożyły się nieszpory i przemówienie ks. prof. Kornilowicza w kościele PP. Sakramentek oraz odczyt ks. prof. Likowskiego: „Znaczenie dziejowe Zakonu św. Benedykta” w sali Tow. Miłośników Historji na Starem Mieście.

Uroczystość zakończyły wyjątki z „Completorium” cz. nabożeństwa wieczornego według liturgji benedyktyńskiej, czysto i z poczuciem stylu odśpiewane przez podwójny kwartet chóru katedralnego pod kierunkiem ks. H. Nowackiego. Szkoda, że żaden z mówców nie dał nam choć w ogólnikowych zarysach ideowego programu obecnej działalności Benedyktynów; miałyby to duże znaczenie propagandowe.

S. P. O.



TEATR ATENEUM.

„Bronx-Express” — komedja Osipa Dymowa.

Ma to być bajka dla dorosłych dzieci na temat, że milion, zdobyty nieuczciwie, nie daje szczęścia. Do tego sensu moralnego prowadzi nas autor „Bronx-Expressu” manowcami snu.

Bohater komedji, żyd Chaskiel, który niegdyś wyemigrował z Polski z rodziną, a obecnie od dwudziestu pięciu lat ciężko pracuje w fabryce guzików, wracając do domu po skończonej robocie na szabas, w kolejce podziemnej spotyka dawnego znajomego, również żyda, który zdażył się do szpiku

kości zamerykanizować. Dolar jest dla niego bogiem i tę nową religję pragnie zaszczepić poczciwemu, zasklepienemu w tradycjach ghetta, Chaskielowi.

Upojony jadem nieznanych pożądań, ukołysany rytmem kolejki, Chaskiel zasypia. We śnie przeżywa szabasowy wieczór na łonie rodziny. Ale już go nie cieszy ani gęś duszona, ani ryba faszzerowana. Przyszły do głosu podświadome pragnienia innego życia, obudzone chytremi podszeptami kusiciela. Chaskiel ucieka na Broadway, gdzie otaczają go ożywione postacie z reklam w kolejce podziemnej. Każda z nich coś sprzedaje, na czemś robi miljony. Tylko on, Chaskiel, nie ma nie do sprzedania. Raptem błyska my myśl: sprzeda Jom Kipur, Sądny dzień. Trzeba żydom w tym dniu płacić podwójnie, aby ich zmusić do pracy. Trzeba wogóle skasować święta narodowe, a wtedy zamerykanizuje się cały świat. Za swój pomysł Chaskiel dostaje upragniony miljon i z ukochaną Murad (bajadera z pudełka papierosów) jedzie na Florydę.

I tu zaczynają się jego kłęski. Jest właśnie Sądny dzień, dzień, w którym żydom pracować nie wolno. A tymczasem cała jego rodzina — zacząwszy od starego rebe, skończywszy na najmłodszym synku — zaprzędana, zdemoralizowana dzięki jego, Chaskiela, odstępstw, oddaje się grzesznej pracy.

Chaskiel poraz pierwszy uświadamia sobie ogrom swego występku. Niema żeń innego wyjścia, chyba tylko śmierć. Od samobójstwa ratuje go ów przypadkowo wówczas w kolejce podziemnej spotkany wyznawca dolara i etyki Broadwayu. Ale i ten zmienił się zasadniczo. Wyrzekł się dawnych bogów i zajął miejsce Chaskiela w fabryce guzików.

Tego już jest zawiele. Chaskiel budzi się na końcowej stacji kolejki, dokąd cała rodzina przyszła mu winażować z powodu dwudziestopięciolecia jego pracy w fabryce.

Ta bajeczka z tysiąca i jednej nocy ma swój specjalny semicki urok. W fantastyczności i bogactwie pomysłów jest coś arabskiego. Ale cudny język Szecherezady zepsuto żargonem. Jakby ktoś lampę Aladyna przerobił na świecznik szabasowy, a nektar zaprawił cebulą. Autor nie zna umiaru, jest to fanatyk ghetta w sztuce. Jego komedja jest ponurą groteską, która cięży na wrażliwości widza, jak nocna zhora.

Jesteśmy świadkami ciekawego małżeństwa freudyzmu z czysto żydowskim mistycyzmem. Z takich stadel rodzą się zwykłe dzieci anormalne, dziedzicznie obciążone wizyjnością. Przypomnijmy sobie „Dybuka”, albo tę drugą sztukę, gdzie Adwentowicz gra rolę świętego rebe, który grzeszy we śnie. Psychologja podświadomości jest tu wszędzie naczelnym węzłem akcji. Ludzie przeciętni i normalni przeżywają najokropniejsze tragedje we śnie. Wysnućby można stąd ciekawy przyczynek do charakterystyki rasy.

„Bronx-Express” wystawiony był i zagrany starannie. Chwilami efekty reżyserskie były zanadto przeciągnięte, czasem chybiały celu. Świat jawy od świata snu odcinał się nie dość wyraźnie. Nawet publiczność premierowa czuła się zdezorientowaną. Śpiewy synagogałne w przerwie między prologiem a pierwszym aktem trwały zadługo, a ponieważ odbywały się w absolutnej ciemności, zamiast nastroju wywołały śmiech i zniecierpliwienie u widzów. Należało ich uprzedzić, że trzeba zabrać ze sobą świeczki szabasowe.

I jeszcze jedna uwaga: skoro ta sztuka przeznaczona jest dla specjalnej publiczności, warto, dla uniknięcia nieporozumień, uprzedzić ją o przebiegu akcji. Po prologu powinien ktoś wyjść przed kurtynę i oznajmić: — Nie bójcie się! jemu to się wszystko śniło, „on” jeszcze zdaży na szabas! — Bo inaczej cały czas będziemy się martwili, że faszzerowana ryba się rozgotuje, a gęś się przypali.

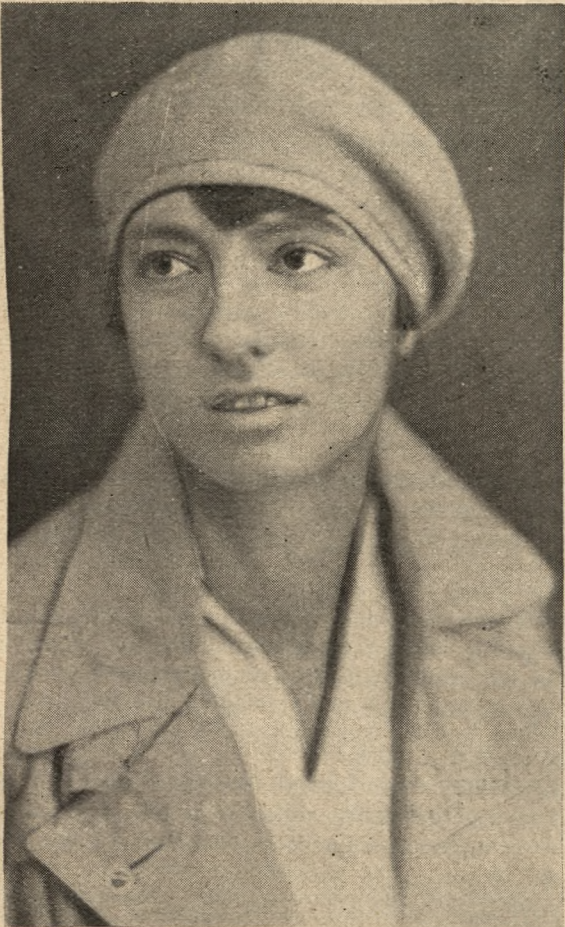
Z poszczególnych wykonawców podnieść należy doskonałą grę p. Bogusławskiego w roli Chaskiela. P. Zelenki trafnie ujął postać postępowego żydka z Broadwayu. P. Tatarkiewiczówna miała sposobność ujawnić szczegóły swej giętkiej kibici i zdolności taneczne w roli bajadery Murad. S. P. O.

# Kobieta w świecie i w domu

## DALSZE ODZNACZENIA.

Złotemi Krzyżami zasługi odznaczone zostały panie: Dr. Zabawska-Domosławska z Warszawy, W. T. M. Germanówna ze Lwowa i J. Mayówna z Krakowa, nauczycielki, za zasługi na polu pedagogicznym, p. Halina Konopacka-Matuszewska z Warszawy. Srebrne Krzyże otrzymały: J. Korczyńska-Toruńska z Grodna, Kom. H. Małecka z Łodzi, nauczycielka, Z. Nowosielska z Lublina i p. Wanda Prażmowska z Warszawy, wszystkie za zasługi na polu pracy kulturalno-oświatowej.

Za zasługi w dziedzinie przysposobienia wojskowego, wychowania fizycznego i pracy społecznej nadano brązowe Krzyże zasługi paniom: Kom. Z. Baraniewskiej ze Szczuczyna, nauczycielce M. Cichońskiej z Brodnicy, J. Kowackiej z Częstochowy i krawcowej W. Nowickiej z Kiele.



P. Halina Konopacka-Matuszewska.

## PIONIERKA DIETETYKI W POLSCE.

W ostatnich latach rozwinęła się intensywnie nowa gałąź wiedzy: higiena odżywiania, specjalnie zaś racjonalnej dietetyki chorych.

Jedną z pierwszych polek, pracujących w tym zakresie, jest p. Marja Morzkowska, z Uniwersytetu Warszawskiego, na



P. Marja Morzkowska.

którym była słuchaczką biologji, p. Morzkowska wysłana została, jako stypendystka funduszu Kościuszkowskiego, do Ameryki, gdzie przebyła parę lat na studjach, uzyskując za rozprawę „O przyzwyczajeniach jedzeniowych polaków” stopień magistra przyrody i dietetyki.

W czasie pobytu w Nowym Yorku, p. Morzkowska, nie mogąc utrzymać się ze szczupłego stypendjum, zarabkowała, dając lekcje języka polskiego dzieciom emigrantów, oraz pełniąc służbę „dietetyczki” w różnych zakładach. To też po ukończeniu studjów, otrzymała szereg ponętnych ofert od sanatorjów i szpitali, gdyż i w Ameryce specjalność ta niewiele liczy jeszcze adeptek. P. M. wróciła jednak do kraju, fundacja Rockefellera przyznała jej bowiem fundusz 5 tysięcy dolarów na zapoczątkowanie w jednym ze szpitali w Polsce kuchni dietetycznej dla chorych. Umiejętne i podług wszelkich reguł nowoczesnej dietetyki przygotowane pożywienie dla chorych jest dotychczas u nas jeszcze niedoceniane, a w praktyce szpitalnej brakło nam potrzebnych funduszy. Obecnie, pomimo pewnych trudności technicznych, sprawa jest na dobrej drodze. P. Morzkowska zaś prowadzi intensywną propagandę swej wiedzy, drogą odczytów, radja i artykułów, z których znają ją dobrze czytelniczki wydawnictw „Bluszczu”.

## WZOROWA ŻEŃSKA SZKOŁA ROLNICZA.

W wykonaniu ustawy o szkołach ludowych rolniczych sejm określił, iż w każdym powiecie powinny powstać dwie takie szkoły: męska i żeńska. Jedną z takich szkół otwarto w r. zeszłym w Witowie, w powiecie piotrkowskim. Dano w tym wypadku pierwszeństwo szkole żeńskiej (odpowiednia męska powstanie później), gdyż w sąsiednich powiatach są już w pobliżu szkoły dla rolników. Sejmik piotrkowski nie szczędził wydatków na urządzenia i potrzeby szkoły, a jedna z gmin. Uszczyn, ofiarowała bezinteresownie pomoc w budowie drogi, aby Witów uzyskać mógł dogodnie połączenie z Piotrkowem.

Przebudowano więc budynki dworskie majątku państwowego Witów, urządzając w nich internat, mieszkania dla personelu nauczycielskiego, sale wykładowe, salę teatralną, szwalnię, łazienki, kuchnie i t. p. Prócz tego szkoła posiada budynki dla inwentarza, ogród, boiska i tereny sportowe, oraz 60 morgowe gospodarstwo rolne.



Uczennice szkoły na korcie tenisowym.

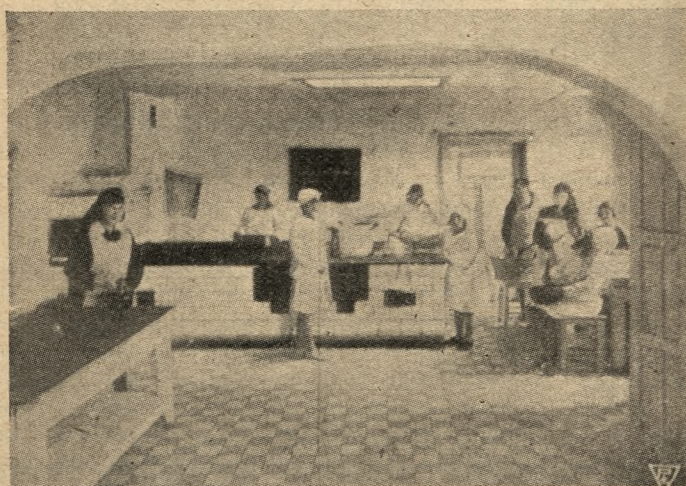
Urządzenia szkoły zostały przez wizytatorkę z ramienia ministerstwa W. R. i O. P., p. Morozowiczową, uznane, jako wzorowe, toteż postanowiono kierować do Witowa rolnicze wycieczki zagraniczne.

Czas trwania wykładów — 11 miesięcy; program obejmuje: rolnictwo, hodowlę i mleczarstwo, ogrodnictwo, pszczelnictwo, tkactwo, szycie, haft, roboty ręczne i gospodarstwo domowe, z zakresu zajęć praktycznych; z przedmiotów teoretycznych język polski, historję Polski i naukę o Polsce współczesnej, geografję, przyrodę, higienę, rachunki, spółdzielczość, rysunki, śpiew i gimnastykę. Nauka jest bezpłatna, internat 55 zł. miesięcznie; uczennicom niezamożnym udzielane są stypendja.

W pierwszym roku istnienia szkoły było 27 uczennic, z tych 22 właścicielki pełnorolne, 2 małorolne, dwie bezrolne i jedna nie włościanka. Kierowniczką szkoły jest p. Julja Ła będziówna, połowę personelu nauczycielskiego stanowią kobiety; kobieta zasiada również w komisji, stanowiącej administracyjny zarząd szkoły.

W miesiącu bieżącym szkoła w Witowie zakończyła swój pierwszy okres szkolny, wypuszczając pierwsze absolwentki. Ten pierwszy rok uważać można, pomimo nieodłącznych trudności organizacyjnych, za zupełnie udany.

Nie trzeba wyjaśniać, że każda taka szkoła rolnicza to pierwszorzędną placówką pracy kulturalnej i podniesienia dobrobytu wsi. Gospodyni wiejska, która ukończyła szkołę rolniczą to pierwszorzędny czynnik higieny, oświaty i ra-



Kuchnia w szkole w Witowie.

jonalnej organizacji pracy w swoim środowisku, tembardziej nieoceniony, im więcej kultura dzisiejsza naszych gospodarstw rolnych pozostawia jeszcze do życzenia. Z chwilą, kiedy istotnie w każdym powiecie powstaną dwie takie szkoły, kształcące chłopców i dziewczęta, znikną z polskiej wsi przeżytki ciemnoty: niechlujstwo, wadliwa uprawa roli i ubóstwo.

#### TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ DZIECI ULICY.

Z inicjatywy grona społeczników i przedstawicieli organizacji powstało w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci Ulicy, które za cel obrało sobie roztoczenie opieki nad młodzieżą i dziećmi ulicy, w szczególności nad sprzedawcami i roznosicielami gazet, jako żywiołem, najbardziej opieki społecznej potrzebującym.

Zebrań organizacyjnych Towarzystwa odbyło się w dniu 8 b. m. w sali tow. Krajoznawczego. Po odczytaniu i przyjęciu zarejestrowanego przez władze statutu, wybrano zarząd.

Wszelkich informacji udziela się we wtorki, czwartki i soboty w godz. 11—15, Profesorska 6, tel. 509-18.

Powstanie Towarzystwa powinno zainteresować najszersze sfery społeczeństwa stolicy. Każdemu, kto czyta i kupuje gazety, nie może być obojętny los małego sprzedawcy - gazetiarza.

#### JAK TRWOGA, TO DO... KOBIEC.

Ukonstytuowany po majowych wyborach nowy rząd angielski znajduje się już w bardzo trudnym położeniu wewnątrz kraju. Partja pracy zyskała większą, niż kiedykolwiek, liczbę głosów, ale nie zdobyła w parlamencie większości absolutnej. Pomimo tego rząd posiadał zaufanie społeczeństwa, równowaga jego uchodziła za ustaloną.

Obecnie jednak sytuacja stała się bardzo skomplikowana. Liczba bezrobotnych wzrosła o 45 tysięcy, a wynosi razem milion dwieście pięćdziesiąt sześć tysięcy ludzi; zatarg węglowy górników z właścicielami kopalni zaostrza się, zagraniczne rynki zbytu handlowego maleją, robót publicznych na wielką skalę nie można prowadzić z powodu braku funduszy, rząd bowiem zaangażował olbrzymie kapitały na podtrzymanie wysokiego kursu funta szterlinga zagranicą.

Wobec tych konjunktur, istnieje poważne niebezpieczeństwo, że partja Pracy z rządu zadowolona nie będzie i może wcześniej lub później odmówić mu poparcia. Rząd dąży więc do ścisłego porozumienia ze wszystkimi stronnictwami, a jako pośredniczka tego porozumienia, wybrana została pani Snowden, żona ministra skarbu.

Na wielkim wiecu Labour Party pani Snowden zainicjowała sprawę porozumienia się ze wszystkimi stronnictwami, gdyż zdaniem jej, obecny, trudny problemat sytuacji wewnętrznej nie może być rozwiązany przez jedno stronnictwo, lecz wszystkie powinny pracować nad usunięciem klęski bezrobocia.

## Spotkanie

208

*Witaj, drogi przyjacielu, wyznać szczerze trzeba,  
że przybyło Ci urody — cerę masz efeba...  
— Cud przemiany tej odkryję bez wynagrodzenia:  
Bo używam „PRZEMYSŁAWKI“ mydła do golenia.*

## DOM ANGIELSKI

2)

Poza względami czysto artystycznej natury, przy zakładaniu ulic w sposób niesymetryczny gra poważną rolę pierwiastek utylitarny i higieniczny, a mianowicie: wzgląd na to, by domów nie ustawiać w ten sposób przy ulicach, żeby jedna strona miała nadmiar słońca, a druga natomiast była go prawie całkowicie pozbawiona. Architekt i urbanista angielski dba o to, by każdy dom miał w ciągu dnia jak najwięcej błogosławionego słońca i światła. W trosce o spokój i zacisze życia domowego, bardzo często dom angielski zwraca swe oblicze ku ogrodowi, odgradzając się tem samym nawet od cichej ulicy. Tak więc plan budowy miasta, jak i założenia domu czynią wszystko, by zapewnić swoim mieszkańcom jaknajwięcej słońca, spokoju i wygody. Dzięki tym usiłowaniom, dom angielski zdobywa dwie cenne właściwości: pokoje mieszkalne i dziecinne z zasady umieszcza ku wschodowi i południowi, inne ku zachodowi, nie oszczędzając jednocześnie miejsca, ni komfortu, na tak upośledzone u nas ubikacje gospodarskie.

Przeznaczenie domu dla jednej tylko rodziny czyni z niego całość zwartą i niepodzielną. Ponieważ dom niezawsze może zajmować większą powierzchnię, przeto zazwyczaj musi się wznosić odpowiednio wysoko. Domy jednopiętrowe posiadają bardzo często pokoje mansardowe, przeznaczone bądź dla służby, bądź jako gościnne. Parter zajmują zwykle pokoje reprezentacyjne wraz z ubikacjami gospodarskimi, pierwsze piętro sypialnie i pokoje dziecinne, zwrócone zazwyczaj ku południowi.

W części mieszkania reprezentacyjnej pierwsze miejsce zajmuje pokój, zwany *drawing-room*, skupiający zbiorowe życie całej rodziny. W nim gromadzi się wieczorem cała rodzina na rozmowę lub muzykę, tam skupia się życie towarzyskie, tu przyjmuje się gości i wizyty, które w Anglii składają wyłącznie panie, gdyż panowie nie mają na to czasu. Palenie tytoniu w *drawing-room* jest niedozwolone ze względu na obecność pań, wobec tego dom angielski posiadać musi jakiś specjalny *smoking-room* — coś w rodzaju fajczarni po naszych dworach. Tej potrzebie służy zazwyczaj biblioteka (*library*), albo *billiard-room* (pokój bilardowy). *Library* posiada wygodne meble, duży stół, zasypany najnowszymi miesięcznikami i wydawnictwami, liczne szafy z książkami dookoła i miękkimi, puszystymi dywanami na podłodze, tłumiący kroki. W głębi — obrzędowy marmurowy kominek, nad nim parę sztychów i zegar, sennie wydzwaniający spokojne godziny. Dobór książek odpowiedni, powieści, dużo pism ilustrowanych i niefrasobliwych, jeszcze więcej krótkich nowel — oto codzienna strawa duchowa przeciętnego Anglika. Nie lubi on zamęczać się przy odpoczynku literaturą problemów i tragedii życiowych, szuka rozrywki, pobudki i zachęty do pra-

cy jutrzejszej, a nie udręki i zmory, zabijającej ochotę do życia.

Pokój stołowy (*dining-room*) służy wyłącznie do jedzenia i tylko do tego celu przystosowano jego urządzenie. A więc: bufet, kredens, stół i stolki, a jako dopełnienie, obowiązkowy kominek — to wszystko. Tu gromadzi się cała rodzina dwa razy dziennie na *lunch* i na *diner*, niekiedy na śniadanie poranne (*breakfast*). Dla wygody pokój ten łączy się zawsze z pokojem kredensowym, w którym przechowuje się zastawy porcelanowe i srebra i w którym ostatecznie bada się potrawy przed podaniem na stół. Ten pokój sąsiaduje znowu z kuchnią. Pokój stołowy posiada zazwyczaj wykusz, służący za pomieszczenie dla małego stolika i kilku stolków, tam bowiem niekiedy można spożywać śniadanie.

W niektórych domach, ale nie obowiązkowo, jest jeszcze jeden pokój: *morning-room* albo *breakfast-room*, jako dopełnienie jadalni, w którym podaje się pierwsze śniadanie i gdzie czasami panie spędzają godziny poranne lub popołudniowe, zwłaszcza, jeśli pani domu nie posiada specjalnego buduaru. W domach nieco większych bywa jeszcze na parterze t. zw. *studio*, albo ogród zimowy, a więc duża, oszklona izba mieszcząca kwiaty, różne rośliny egzotyczne i palmy, bardzo powszechnie w Anglii lubiane.

W tych wyliczonych pokojach koncentruje się zbiorowe życie rodzinne, w nich przyjmuje się gości, można je zatem uważać za pokoje reprezentacyjne. Architektura ich nie posiada żadnych szczególnych upiększeń, w jadalniach stropy często bywają drewniane w kasetony, ściany kryją niekiedy boazerje, a obowiązkowy wykusz zamiast szyb posiada witraże, by uchronić wnętrze przed zbytnią ciekawością. *Drawing-room* i *morning-room* posiadają zwykle stropy stiukowe białe, by zapewnić wnętrzu jaknajpogodniejszy wygląd, zwłaszcza, że bardzo często bywają zwrócone ku północy lub wschodowi, posiadają zatem, dzięki właściwościom klimatu angielskiego, mało słońca.

Mówiąc o wykuszu, niepodobna powstrzymać się od uwagi, iż jest on w architekturze angielskiej czemś innem, niż w budownictwie niemieckim. W Anglii jest on rozszerzeniem pokoju, mającym umożliwić, nawet w najniekorzystniejszych warunkach klimatycznych, wtargnięcie słońca do pokoju bodaj na chwil parę. Dlatego bywa on zawsze dość obszerny, posiada ten sam poziom, co podłoga pokoju, tak, że go właściwie nic od właściwego pokoju nie dzieli. W Niemczech natomiast wykusz (*Erker*) jest ozdobą, dodatkiem, przyczepionym mniej lub bardziej dowolnie do narożnika czy ściany frontowej, czyniąc od wewnątrz wrażenie niszy lub wgłębienia, przeznaczonego dla kołowrotka i prądki. Wykusz angielski zastępuje poniekąd balkon czy werandę, na które nie pozwala wilgotny klimat angielski. Jest on zatem

szklaną latarnią, wnoszącą światło i słońce do sali jadalnej.

W siedzibach wiejskich, rzadziej miejskich, poważną rolę gra *hall*. Prawdziwy zabytek feudalizmu, izba, a może raczej sień o niezakrytem belkowaniu stropowem, wysoka, z ogromnym kominem, wygodnymi fotelami, kanapami, na których nietylko spocząć, ale i wyspaćby się można niezgorzej; na podłodze puszyste, miękkie dywany, lub skóry egzotycznych drapieżców. Przeznaczenie *halu* nie jest ściśle określone zwyczajem, ani tradycją. Przyjemnie jest w nim witać gości, wracających z polowania, miło tam grać się, kiedy ogień płonie na kominku w dżdżysty i mglisty dzień, przejmujący nawskroś chłodem. Ale stokroć milej jest mieć takie piękne, stare domostwo i to w szczęśliwej Anglii, szanującej tradycję i człowieka.

Jak widzimy, konstrukcja i układ domu angielskiego ściśle odpowiada panującemu od wieków obyczajowi, zachowanemu do dnia dzisiejszego z całym szacunkiem i konserwatyżmem. Dla przykładu weźmy np. angielską gościnność. Jak zasadniczo różni się ona od naszej! Gość angielski nie narusza w niczym domowego porządku, a gościnność znowu nie narzuca się gościowi w jego upodobaniach i nawykach.

(d. c. n.) Stanisław Machniewicz.



## STANDARYZACJA CZY INDYWIDUALIZACJA

*Dwie wystawy artystycznych wnętrz.*

Jak tanio, praktycznie a estetycznie urządzić sobie mieszkanie, mieszkancko czy choćby pokój własny, jak pogodzić zasady racjonalnej organizacji pracy z pięknem i wygodą, jak z niebezpiecznego konfliktu między szczupłością lokalu i... sakiewki, a rozmiarami indywidualnych aspiracji artystycznych wyprowadzić cało, zdrowo i kwitnąco swoje ognisko domowe — oto pierwszorzędne zagadnienie naszego życia rodzinnego i samotniczego — nawskroś nowoczesny problemat wnętrza.

W rozwiązaniu tego problemu zaznaczyły się odrazu dwa rozbieżne, a jednak wzajemnie doskonale uzupełniające się prądy: standaryzacja i indywidualizacja wytwórczości. W pierwszym wypadku chodzi o ustalenie pewnego jednolitego typu, najlepiej odpowiadającego potrzebom i upodobaniom epoki, i o masowe jego produkowanie dla jaknajszerszych warstw. Istotnymi cechami tego typu musi być prostota, praktyczność i taniać. Inaczej nie odpowiada on swemu zadaniu. Natomiast indywidualizacja ma na celu na-

dawanie każdemu najdrobniejszemu sprzętowi odrębnego oblicza artystycznego. Tą drogą umożliwia się jednostce posiadanie przedmiotów codziennego użytku, z których każdy jest indywidualnym dziełem sztuki o charakterze swoistym, niepowtarzalnym. Cechą tego typu powinna być przede wszystkim pomysłowość i smak. Prostota, praktyczność i taniać są niewątpliwie pożądane, choć, rzecz prosta, trudniej je osiągnąć, niż przy masowej produkcji.

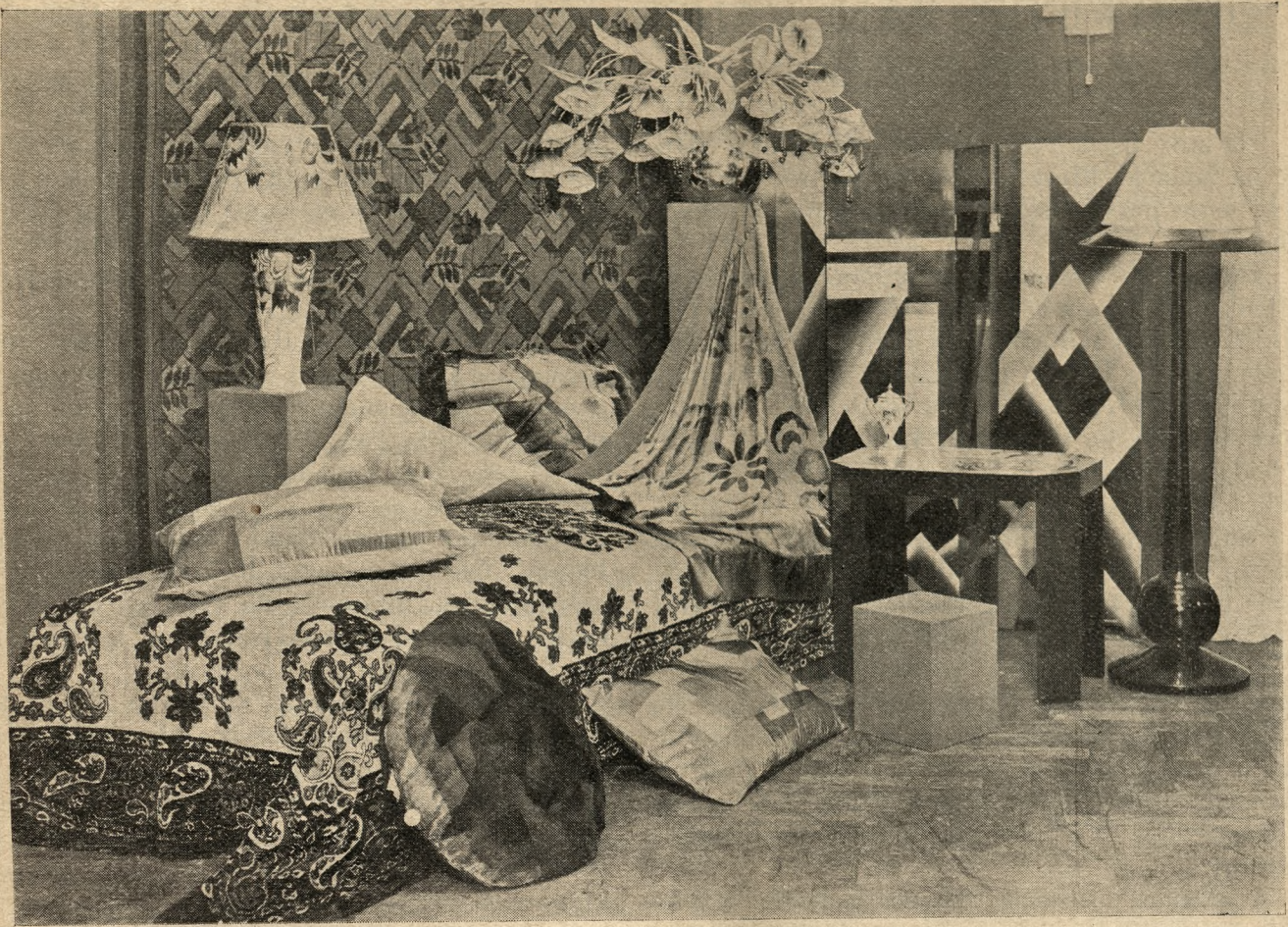
Dwie niedawno otwarte w gmachu B-ci Jabłkowskich, a sąsiadujące ze sobą wystawy: jedna — mebli „Meko”, druga — abażurów, lamp, poduszek i makat Zofji Raczyńskiej — doskonale ilustrują odrębność i możliwość symbiozy tych dwu kierunków.

Meble „Meko” — to uosobienie standaryzacji, zarówno w rysunku, jak w wykonaniu technicznym. Zasadą ich są trójkątne i kwadratowe płaszczyzny, powleczone pancierzem grubej, lśniącej emalii, o barwach zdecydowanych, często jaskrawych: żółtej, czerwonej, niebieskiej, czarnej, maskującej doszczętnie nietylko rysunek słoje drzewnych, ale wogóle charakter materiału, z którego dany sprzęt jest zrobiony. Pod tym względem istnieją pewne odchylenia, pokazywano nam bowiem na wystawie biureczka, indywidualnie skomponowane, a kolorowane barwnikami bardziej przejrzystymi i matowymi, odgrywającymi rolę sztucznego bądź co bądź naskórka, pod którym nieśmiało uwydatniają się żyły i mięśnie drzewa.

Prostota i praktyczność tych sprzętów jest oczywista, natomiast taniać mocno problematyczna. Prostoty stół na czterech nogach kosztuje 50 złotych; stolicek trójkątny, tak mały, że można na nim postawić zaledwie lampę lub wazon z kwiatami — 60 złotych, a dodać należy, że dopiero conajmniej cztery takie stoliczki, odpowiednio dobrane kolorami i zestawione razem, dają efekt właściwy. Czy nie za drogo, jak dla przeciętnego inteligenta? I czyż w tem tak starannem powlekanii drzewa emalią nie zatracą się doszczętnie charakter materiału, czyli to, co jest właściwie duszą sprzętu? Czy nie jesteśmy tu świadkami jeszcze jednego grzechu przeciw naturze, popełnianego w imię utylitarysty i mody?

Atelier pani Zofji Raczyńskiej ma charakter zupełnie odmienny. Znajdujemy się odrazu w świecie indywidualnej swobody, która mogłaby się stać kaprysem, gdyby nie była trzymana na wodzy przez kulturę i smak artystyczny twórczyni tych wszystkich rozkosznych drobiazgów: lamp, obrazów, wazonów, stylizowanych kwiatów, szali, paławaników, makatek i poduszek. Umiejętne ugrupowanie i oświetlenie tych pieścidełek stwarza wnętrza, stworzone raczej do rozkosznych dumań i wytchnienia, niż do pracy. Ale to jest właściwym ich celem: karmić wyobraźnię, wyjałowioną całodzienną pracą zawodową, zaabsorbować zmęczone umysły czemś zupełnie świeżym, odmiennym od powszedniego, znormalizowanego otoczenia. Pierwszorzędnym środkiem potemu jest or-





Lampy, abażury, poduszki, makaty i kwiaty fantazyjne z wystawy Z. Raczyńskiej.

ament. Ten ornament, wygnany ze współczesnej architektury, zadowolniającej się całkowicie efektem bryły i linii, tutaj odzyskuje swoje prawa. W posługiwaniu się nim jednak trzeba utrzymać miarę, trzeba umieć w porę zdobyć się na wstrzemięźliwość, aby nie popaść w manierę i szablon. Dobra wróżka, stwarzająca te wszystkie cuda niemal z niczego, bo ze pstrych szmatek, albo z nasyczonego celulozą materiału, powinna bacznie czuwać, aby jej różdżka czarodziejska nie przekroczyła tej granicy piękna, poza którą czyha banalność.

Od przedmiotów „zbytku” — bo tak zwykliśmy nazywać i to, co daje rozkosz oku — nie wymagamy zazwyczaj ani praktyczności, ani taniości. A jednak posiadają one te cnoty, tak rzadkie nietylko wśród księżniczek, ale pośród kopciuszków artyzmu. Wszystkie abażury, lampy, kwiaty zrobione są ze specjalnie spreparowanego materiału, który można bez obawy myć zwykłą wodą.

— Kąpiel w wannie od czasu do czasu doskonale im służy na cerę — zapewnia pani Raczyńska.

A teraz, kilka słów o cenach. Otóż piękna poduszka o niepowtarzających się, oryginalnych deseniach (już wypchana pierzem) kosztuje 60 złotych. Lampę biurkową z abażurem można mieć już za 50 złotych. Były na wystawie i wazony, ręcznie malowane na porcelanie, w cenie 1000 i więcej złotych, ale

większość eksponatów obliczona była na przeciętne inteligentkie kieszenie.

Dodam nawiasowo, że to, co nam pani Raczyńska zaprezentowała, jako „dernier cri” mody, a mianowicie lampy w kształcie srebrnych kul i białe, matowe latarnie na wysokich, czarnych postumentach, wcale mi się nie podobały. Srebrne kule przypominają ogródek księdza proboszcza, a czarne postumenty — świeczniki przy katafalku. POCO ten żałobny pseudoklerykalizm? Przyznaję w prostocie ducha laika, że wolę jeden indywidualny kaprysyk p. Raczyńskiej od dziesięciorga przykazań mody, które jutro napewno zdegradowane zostaną do rzędu grzechów głównych.

Na zakończenie — drobna uwaga praktyczna. Uproszczone meble „Meko” doskonale zgadzają się z fantastycznymi cackami p. Raczyńskiej. Surowe w liniach, jednolite i zdecydowane w kolorycie, stanowią idealne tło, podstawę i „repoussoir” dla bogato ornamentowanych lamp, wazonów i kwiatów. Są spoczynkiem dla oka, przemawiają spokojną logiką celowego kształtu w zalewie tego, co dawniej nazywało się „artystycznym nieładem”, a dzisiaj możnaby nazwać „irracjonalizmem piękna”. Mamy tu jeszcze jeden przykład idealnej symbiozy dwóch, pozornie sprzecznych, kierunków w sztuce dekoracyjnej.

Stefanja Podhorska-Okolów.

## W ODPOWIEDZI PANI HANCE Z NAD BUGU

Na miły liścik Pani „Hanki z nad Bugu“ odpisuję na łamach „Bluszcze“, sądząc, że rady i wskazówki moje przydadzą się niejednej początkującej gosposi.

Otóż na pocieszenie powiem Pani Hance, że nie ona jedynie czuje się bezradną i nieszczęśliwą w tych ciężkich początkach gospodarskich. O, bo ciężkie i trudne są one bardzo dla każdej młodej kobiety, wchodzącej w życie z poczuciem obowiązku i ambicji postawienia się na wysokości zadania! Dziś, kiedy wychodzenie młodo zamąż jest przeżytkiem, panna, zupełnie nieznająca się na gospodarstwie, łatwiej sobie z niem poradzi, będąc starszą, lepiej przygotowaną do życia, a, co zatem idzie, pewniejszą siebie. Zresztą to, co było, nie podobne jest do tego, co jest.

Czy to skutek fatalnych interesów na wsi i w mieście, czy też dzięki przekonaniu, że duch i umysł bezwzględnie tępieją od przejadania się, a mają przecież niezmiernie doniosłe znaczenie (nie u ogółu wprawdzie, jednak u wielu ludzi), dość, że łakomstwo zanika, i prowadzenie domu, choćby wykwińskiego, dziś — to tylko drobiazg w porównaniu z wczoraj.

A przecież i dawniej dawały radę tej syzyfowej pracy biedactwa, wypuszczone w świat prosto z pod skrzydeł matczynych. Czy wiecie panie, z czyją pomocą? oto z pomocą — książki, dobrej, poczytywnej książki. Była taka jedna, dająca istotnie prawo do nieśmiertelności jej autorce, jako niezaprzeczenie najlepsza wówczas doradczyni i przyjaciółka skłopotanej rzeszy, która wgłębiała się w nią z zapalem, niczem badacz, spragniony wiedzy. Napisała językiem staroświeckim, naszpikowana prowincjonalizmami, miała pomimo to nadzwyczajne własności, o których opowiem paniom z okazji jej wskrzeszenia.

Kiedy przejmowałam się jeszcze kłopotami w rodzaju tych, co gnębią panią Hanke, chcąc zyskać miano „najlepszej gospodyni“ w okolicy, w któ-

ra weszłam przez zamążpójście, postanowiłam co wieczór „do poduszki“ przestudjować rozdział tej pożytecznej książki, a gdy sen mi oczy kleić zaczynał, kładłam ją pod głowę. I rzeczywiście dopięłam celu. Wkrótce dom mój zasłynął z dobrego gospodarstwa nie dzięki temu, że wydawałam najwięcej na jego utrzymanie, jak to wówczas było w modzie, ale że, wydając najmniej, umiałam największą korzyść wyciągnąć z tego, co wydałam, a to dzięki mojej kochanej książce.

To też nie posiadałam się z radości, przeczytawszy, że źródło mojej wiedzy, rozszerzone, odmłodzone, dostosowane do dzisiejszych potrzeb i czasów, wskrzesiło Tow. Wydawnicze „Bluszcze“.

Niech Pani kupi tę książkę, Pani Hanko, a nawet bez używania jej, jako jaśka pod głowę, odleca od pani, jak czarne kruki, wszystkie gospodarskie kłopoty. Niech Pani pomyśli: 3,000 przepisów i to wyczerpujących, pisanych dla tych, co nie umieją gotować, od najskromniejszych do najwykwintniejszych — to nie żarty!

„Doskonała kuchnia“ — dawna „Kucharka szlachecka“ — przyniesie nie tylko ułatwienie, ale i niejedną miłą chwilę zadowolenia i dumy, bo, czy jest równouprawnienie, czy go niema — faktem pozostanie zawsze, że kochająca żona szczęśliwą będzie, zobaczywszy uśmiech zadowolenia na zmęczonym kłopotami obliczu swego byłego władcy.

A ten pożądaný rezultat zawdzięczać Pani będzie książce mądrej, praktycznej, taniej, i, co nie jest do pogardzenia, dostosowanej do wszelkich środków i potrzeb.

Niech mi Pani wierzy, Droga Pani Hanko, że na wszelkie trudności gospodarskie jest lekarstwo tylko — w książkach. Przez nie nauczy się pani tego, czego dawniej w szkołach, z wielką krzywdą dla kobiet (jak Pani to zresztą sama czuje) nie uczono. Szczęśliwie, system ten uległ zmianie i te, które teraz szkoły kończą, nie będą miały trudności takich, jak Pani. Tymczasem niech Pani zaprenumeruje „Życie praktyczne“, albo stałe kupuje interesujące ją zeszyty tego wydawnictwa. Znajdzie Pani w każdym jakąś dobrą radę i naukę.

J. S.

**Najlepszym podarunkiem dla matki, żony, siostry jest**

**„DOSKONAŁA KUCHNIA“**

szóste przerobione i uzupełnione wydanie „Kucharki Szlacheckiej“ M. MARCISZEWSKIEJ

**największa, bo zawierająca około 1000 stron**

przeszło 3000 przepisów, kilkadziesiąt ilustracji

**najlepsza ze wszystkich**

bo zadowalająca gusty zarówno najwytworniejszego smakosza, jak i poprzestającego na skromnej, codziennej strawie.

**Cena 14 zł.**

**Wysyła Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.**

**Konto P. K. O. 13.555.**

## COŚ NIECOŚ O KARTOFLACH

Jeżeli porównamy całe setki dań, przyrządzanych z kartofli przez oszczędne a pomysłowe gospodynie na zachodzie Europy, z niewielką ilością sposobów ich użytkowania, stosowanych u nas — dojdziemy do przekonania, że zupełnie nie umiemy wyzyskać tego cudownego daru Bożego, tej jarzyny-karmicielki, bez której już dzisiaj nikt nie potrafi wyobrazić sobie odżywiania szerokich mas ludności.

Urodziły ziemniaki, pyrki, kartofle, bulby — jak je w różnych okolicach wielkiej Ojczyzny naszej lud nazywa — i syta jest wieś i mała miescina, robotnik fabryczny, drobny rzemieślnik — no, i nie raz biedniejszy od wszystkich, bo równie małe zarobki, a znacznie większe potrzeby kulturalne mający — pracujący inteligent.

Tak, wszyscy są syci, tylko nie wszystkim ta strawa jednakowo smakuje. Pracownik fizyczny, z natury rzeczy potrzebujący dużej ilości pokarmów i od dzieciństwa do małego ich urozmaicenia przyzwyczajony, zjada duże miski gotowanych, suto słoniną okraszonych kartofli, takież zupy-kartoflanki, placki i racuchy zaś dostaje tylko wtedy, kiedy małżonka ma dużo zbywającego czasu, lub jest w wyjątkowo dobrym humorze, i nawet mu na myśl nie przychodzi grymasić.

Inteligent, pracujący umysłowo, mniej zwraca uwagi na ilość pożywienia, natomiast znacznie wrażliwszy jest na jego jakość. Wszelka monotonia, częste powtarzanie tych samych dań, już go nuży.

Niemieckie gospodynie posiłkują się książką pod tytułem „1000 dań z kartofli“; znając jednak młłą kuchnię niemiecką, nie chciałabym jej polecać gospodyniom polskim, chociaż zapewne w tej masie dałyby się wyłowić i rzeczy smaczne. Natomiast francuzki — a każda z nich jest z przyrodzenia gospodarna, oszczędna i obdarzona wybornym poczuciem smaku — robią może o wiele mniej, lecz zato i o wiele smaczniejszych potraw z kartofli, traktując je, nie jako dodatek do mięsa lub ryby, nie jako przystawkę tylko, lecz jako samodzielne, pożywne danie. Idąc za ich przykładem, mogłybyśmy bardzo rozszerzyć granice możliwości stosowania kartofli w kuchniach naszych.

Powinnybyśmy się najpierw wyrzec pewnych przesądów, głęboko zakorzenionych, u kucharek szczególnie. Bo każda kucharka uważa, że kartofle należy gotować obierane — a rozporządzenie pani gotowania ich „w mundurach“ (w łupinach) uważa za objaw skąpstwa lub ignorancji. Tymczasem właśnie pod samą łupiną mieszczą się najcenniejsze witaminy, które przy delikatnym obieraniu ugotowanego już kartofla w nim pozostają. Jeżeli gotujemy już obrane kartofle, to gotujemy je w specjalnym rondelku o podwójnym dnie, na parze. Gotowane w dużej ilości wody, tracą części pożywne, tracą swój specyficzny aro-

mat i smak — są dobre chyba dla diabetyków, którym w innej postaci są zabronione. Wiemy przecież, jak woda, w której ugotowaliśmy kartofle obierane, jest kleista, prawie gęsta: — to cały, zawarty w kartoflu krochmal, w niej się rozpuścił.

Do przesądów też należy zaliczanie kartofli do artykułów specjalnie tuczających. Dopiero z dodatkiem tłuszczu (im więcej — tem bardziej) staje się kartofel bardzo pożywny i nawet tuczający. Kartofle gotowane i pieczone są stosowane w diecie odtłuszczającej, w niektórych zakładach stanowią one nawet główną podstawę odtłuszczającej diety. W ograniczonych ilościach są dozwolane nawet przy tak modnej dzisiaj surówce. Jednak i przy surówce je się je tylko ugotowane lub upieczone. Użycie kartofli na surowo mogłoby wywołać poważne zaburzenia żołądkowe.

Gospodyni domu, mającej liczną rodzinę i domowników, chodzi zwykle głównie o dobre wykorzystanie tanich i łatwych do nabycia produktów spożywczych i o urozmaicenie sposobów ich przyrządzania. Najdostępniejszym i najtańszym takim produktem są niezaprzeczenie kartofle, mające jeszcze tę wyższość nad innymi jarzynami, że z nich przez rok cały korzystać można.

Poza wszelkimi sposobami gotowania i smażenia kartofli — przyczem najwykwintniejszym sposobem ich smażenia są „pommes soufflés“ i „pailles“ (zużywające dużo czasu i dużo tłuszczu), a najoszczędniejszym — kartofelki, ugotowane w mundurach, a potem przysmażone na słonince, szmalcu, fryturze lub maśle — chcę zwrócić uwagę gospodyń na następujące grupy potraw z kartofli.

Kartofle, upieczone bez łupin lub w łupinach, bardzo starannie umyte, po ścięciu wierzchu i wydrążeniu miękkiego ośrodka, można nadziewać różnymi farszami mięsnymi, rybnymi, różnymi resztkami, pozostałymi od obiadów, z dodatkiem gotowanego ryżu lub tychże ośrodków kartofli. Te ośrodki nigdy marnować się nie powinny: należy je użyć na purée kartoflane, polać słoninką i podać, jako dodatek do zupy, i t. p. Pomysłowa gospodyni może do nieskończoności urozmaicać takie nadzienie; w dziale przepisów podaję jedno z nich, najprostsze: nadzienie z resztek pieczonego lub gotowanego mięsa — a tutaj wspomnę o jarskim nadzieniu z wyjętych ośrodków z dodatkiem gotowanych grzybków i cebuli, przesmażonej w sporej ilości masła.

Drugą grupę dań stanowią różne zapiekanki z kartofli surowych. Kuchnia francuska ma ich dużo; są to kartofle surowe, zapiekane w formach, lub na ogniotrwałych półmiskach, z dodatkiem rosółów mięsnych czy rybnych, mleka, lub różnych gotowych sosów — zawsze z dużą ilością tłuszczu.

Z dań tego typu podaję babkę z kartofli — przepis ten, pochodzący ze Lwowa, gdzie ludzie smacznie jedzą, wielokrotnie wypróbowałam.

W trzeciej grupie mniej znanych dań z karto-

fli należy je traktować, jako materiał na ciasto do różnych pasztetów i pasztecików. W formie, wyłożonej masą kartoflaną, przyrządzoną mniej więcej tak, jak na kotlety kartoflane, można zapiekać wszelkie farszaki, pasztety, potrawy z gęstymi i niezbyt długimi sosami, jednym słowem — traktować tę masę tak, jak ciasto kruche lub francuskie, od których jest kilkakrotnie tańsza. Jeżeli do tej masy dodamy cukru i zapachów, możemy z niej robić tanie ciastka.

Z kuchni niemieckiej zaczerpnęłam dwa ostatnie przepisy. Placek z serem, dokładnie wykonany i podany dopiero w dwa dni po upieczeniu, jest prawdziwie smaczny i może doskonale zimą, kiedy twaróg jest drogi, zastąpić placek z czystego sera. A racuszki, dobrze roztarte i należycie cytryną i cukrem z wanilią aromatyzowane, są wprost wyborne, nawet znacznie delikatniejsze od zwykłych racuszków z mąki na jajach. Kto nie wie, z czego są zrobione, nie będzie w nich nawet podejrzewał zawartości, nieco zawsze w pogardzie będących, kartofli.

Pani Elżbieta.



### BABKA KARTOFLANA.

Poza kształtem, ze zwykłymi babami ze słodkiego ciasta nic wspólnego nie ma. Jest to pożywna przystawka, która może być podana na drugie śniadanie, na kolację, lub jako dodatek do jakiejś czystej zupy: barszczyku czerwonego lub pomidorowego, kapuśniaku, niezbyt gęstego i t. p. Kilo kartofli surowych, zważonych już po obraniu z łupin, pokrajając w cienkie paski nożem, lub lepiej jeszcze, zestrugać na tarce do buraków, osolić lekko. Ćwierć kilo wędzonego boczków lub obrzynków z tłustej szynki pokrajając w takie paski, wymięszać dokładnie z kar-

toflami, przesypując pięcioma deka tartego, ostrego sera. Kto chce, może dodać odrobinę białego pieprzu. Foremkę wysmarować grubo masłem lub szmalcem, wysypać tartą bułeczką, napelnić kartoflami, mocno je utrzęsając i uciskając, posypać jeszcze po wierzchu tartą bułeczką i wstawić w dobrze gorący piec na godzinę. Po upieczeniu wyrzucić na półmisek. Jeśli podajemy tę babkę, jako oddzielne danie, można do niej podać czysty sos pomidorowy.

### KARTOFLE NADZIEWANE.

Bardzo duże kartofle (6 na kilo), o ile można równe, co do kształtu i rozmiaru, obrać delikatnie ze skórki, obetrzeć miłąką solą i upiec pod blachą. Po wyjęciu z pieca, ściąć ostrym nożem wierzchy i wyjąć łyżeczką całe wnętrze kartofla, zostawiając ścianki centymetrowej grubości. Na te sześć kartofli usiekać drobno trzydzieści deka gotowanego lub pieczonego mięsa, drobiu lub zwierzyny. Zasmażyć w łyżce masła drobno usiekaną cebulkę, dodać łyżkę mąki, rozproszyc rosołem lub wodą z dodatkiem kawałka suchego buljonu, zagotować. Sosu tego powinno być półtorej do dwóch szklanek. Mięso wymięszać z sosem. Dodać resztki sosu z mięsa (jeżeli było pieczone), osolić do smaku, nieco popieprzyć. Napelnić tym farszem kartofle, ułożone na patelni, posmarowanej masłem. Przykryć wierzchami z kartofli, obsypać tartym serem, położyć na każdym kartoflu kawałek masła, rozmiaru laskowego orzeszka, i wsadzić ponownie w piec na kwadrans. Dobra potrawa na drugie śniadanie, kolację, lub na przystawkę po zupie. Wyjęte z kartofli pieczone środki nie powinny być zmarnowane. Można je użyć na kotleciki kartoflane, na krokietki, lub też polać topioną słoninką i użyć na dodatek do zupy.

### PLACEK KARTOFLANY Z SEREM.

Utrzeć na tarce, lub przepuścić przez maszynkę siedemdziesiąt pięć deka (trzy ćwierci kilo) poprzedniego dnia ugotowanych kartofli, zmieszać z pięć-

**Aby zdobyć nagrodę za najlepiej prowadzone rachunki, należy przede wszystkim nabyć**

## **KSIĄŻKĘ RACHUNKOWĄ KOBIETY POLSKIEJ**

w opracowaniu p. Elżbiety

Książka ta, obok dokładnie przemyślanego rozłożenia rubryk wydatków i wpływów, ma jeszcze tę zaletę, że prowadzenie w niej rachunków można zacząć od każdego dnia, nie odkładając tej podstawowej w gospodarstwie czynności do nowego roku. Staranne notowanie wszystkich przechodzących przez nasze ręce pieniędzy pozwala na uregulowanie spraw budżetowych, a tem samem staje się podstawą spokoju i dobrobytu każdego domu.

**Cena 4 zł., z przesyłką poczt. 4 zł. 50 gr.**

Konto P.K.O. Nr 13.555.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”.

dziesięcioma deka (pół kilo) przetartego przez sito, dobrze wpierniętego twarogu i pięcioma deka dobrego masła. Ucierać mocno, dodając potrochu piętnaście do dwudziestu deka cukru, dwa żółtka, kilka utartych gorzkich migdałów, skórę, otartą z pół cytryny, kawałtka utłuczonej z cukrem wanilji (zamiast wszystkich tych zapachów razem, można zastosować tylko jeden z nich).

Gdy masa stanie się zupełnie gładka, dodać proszek do pieczywa „Luba“, utrzeć jeszcze doskonale razem, dodać białka, ubite na sztywną pianę i przełożyć do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką tortownicy. Wstawić w dobrze gorący piec i trzymać w nim około godziny. Gdyby się placek za nadto rumienił, przykryć go zwilżonym wodą papierem. Podawać dopiero w dwa dni po upieczeniu, gdyż dopiero wtedy nabierze należytego smaku.

#### PIEROŻKI KARTOFLANE NA SŁODKO.

Dwadzieścia pięć deka ugotowanych dnia poprzedniego kartofli przepuścić przez maszynkę, lub przetrzeć przez sito, zmieszać z taką samą ilością mąki pszennej, dwunastoma deka cukru i ośmioma deka masła. Wcisnąć sok z pół cytryny, dodać odrobinę soli i skórki cytrynowej dla zapachu, jedno duże jajko, parę łyżek mleka i proszek do pieczenia. Wyrobić doskonale na gładką masę. Rozwałkować cienko (najwyżej na pół centymetra), lekko podsypując mąką. Pokrajać na nieduże czworokąty (6 — 8 cent. z obu stron). Nakładać jakąbądź owocową marmeladą lub konfiturami, osączonymi z syropu. Składać w trójkąty, zacisnąć mocno brzegi. Ułożyć na posypanej mąką blasze, posmarować żółtkiem i upiec w średnio gorącym piecu. Powinny być dobrze przepieczone. Po wyjęciu, gorące, posypać cukrem-pudrem.

#### LEGUMINA Z JABŁEK Z ORZECHAMI.

Sześć średnich jabłek obrać, wydrążyć lekko srodki, nie przebijając ich jednak aż do dna. Dziesięć deka orzechów zemieć na maszynce, połowę

Cały świat

pije

angielską herbatę Lyons'a

# Herbata Lyons'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorzędnych handlach kolonialnych.

215

z nich zmieszać z taką samą ilością cukru i kawałkiem masła, napelnić tem jabłka. Trzy żółtka utrzeć z trzema łyżkami cukru, dodać dwie łyżki tartej bułeczki, utarte orzechy, półtorej szklanki mleka, utrzeć razem doskonale, dodać ubite na sztywną pianę białka. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem, ułożyć w niej jabłka, pokryć kremem przygotowanym i wstawić w średnio gorący piec na minut dwadzieścia. Oddzielnie podać do tego zimne mleko lub śmietankę.

#### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

## Pan Prezydent Rzeczypospolitej w Bytenu.

Uroczystą chwilę przeżywaliśmy niedawno nad Szczarą.

Rozległy horyzont, przecięty wyniosłością wzgórze, zamknął w sobie Tajemnicę, która serca wprawia w mocne a niecierpliwe bicie: chwije się łan głów, zwróconych w jedną stronę, pochylają białopurpurowe sztandary, jak maki bajeczne, znaczące drogę Oczekiwaniu...

Hen, pod lasem, zaczyna się ich szereg, umieszczony na wysokich masztach, zwisa z małych w perspektywie domków, i szumieć zda się pustce: Oto żołnierskie osady. Oto twierdze, budowane pod cieniem krwi, aby kwitła tęcza pokoju. Aby wśród białoruskich osiedli powstawały powitalne bramy z symbolem państwowości polskiej: Orłem białym u szczytu z napisem: „Obywatele gminy byteńskiej witają Cię, Dostojny Panie Prezydencie!”

Wokół bramy rzesze ludności, rozbitej na poszczególne delegacje, tworzące szpaler wzdłuż dwóch stron ulicy. Gorączka coraz większa ogarnia tłum, minuty dłużej się, jak wieki, budząc nieprawdopodobne myśli, rzekomo usprawiedliwiające daremne dotąd czekanie. Może to śni się tylko i nigdy nie będą oglądać oczy Radości, wcielonej w symboliczną postać pod cieniem amarantowo-białym?

Lecz oto z dzwonnicy, gdzie umieszczono obserwatorów, pada wieść o zbliżaniu się pierwszych aut. Gwar niecierpliwy wzrasta. Wreszcie ukazuje się auto Pana Prezydenta. Kierowca zwalnia, stając w obramowaniu zielenią przybranych kolumn i wstęg, rozwianych wiatrem, jakby kłaniały się Dostojnemu Panu.

On sam z jakimże dobrotliwym uśmiechem słucha okrzyków, od których silniej może w niejednych piersiach bije serce.

Dostojna, srebrną aureolą okolona głowa zwraca się ku delegacjom. P. Prezydent wysłuchuje ich oracji z ojcowskim uśmiechem. Cóż dziwnego, że uśmiech ten, obok czci najgłębszej, budzi miłość, ośmiela serca.

Z takim właśnie uczuciem witał Pana Prezydenta, ksiądz proboszcz B. Helmer, w imieniu parafjan-katolików, którymi są prawie wyłącznie osadnicy wojskowi.

Zacny kapłan, podkreślając ich trudne warunki bytu, wyjaśnił, dlaczego dotychczas nie wykończono kościołka, którego uboga sylweta widnieje na wzgórzu i przywodzi na myśl tysiączne braki, nie-

możliwe do uzupełnienia z powodu stałej pustki w kasie.

Ciężkie jest ogromnie położenie osadników byteńszczyzny, uwydatniły to najlepiej dwa anemiczne bukiety, złożone Panu Prezydentowi przez bladą dziewczynkę. Czyż to nie jest prawdą, że w byteńszczyźnie jeno głogi i ciernie się rodzą, że kwiaty więcej łzami, niż blaskiem słońca pojone. I dlatego takie wątłe i tak ich mało...

A nie może być inaczej na szczyrych piaskach, ciągnących się na głębokości szesnastu betonów, bez podglebia. Trud roboczy i inwestycje pieniężne zaprzepaszcza otchłań ziemia z bezwzględnością rzeczy martwych i wrogich. Dlatego osadnik wegetuje tutaj raczej i walczy, by nie zginąć, a wygląda ubogo i nędznie. Dlatego może zrównany bywa przez władze z miejscową ludnością. Nie uznaje się w byłych legjonistach odrębnej organizacji, i o miejsce dla niej, w razie nielicznych zresztą uroczystości, trzeba upominać się, starać... Słusznie więc delegowany przez osadników byteńskich i jako ich odpowiedzialny przedstawiciel, kapitan rezerwy, T. Pers, w krótkiej, powitalnej, nie objętej programem uroczystości, przemowie do Dostojnego Gościa, zaznaczył, iż wszyscy tutaj nie mamy zupełnie opieki, a jest nas zgorą 70 rodzin, skazanych prawie na śmierć głodową.

I trzeba było tylko niezwyklej dobroci Najwyższego Zwierzchnika Polski, by w tych dorywczych słowach, nie popartych w danej chwili dowodami argumentami, uznać jednak bolesną prawdę, zainteresować się losem osadników z byteńszczyzny, aż do zawezwania delegata na posiedzenie Zarządu Głównego Centr. Zw. Osadników, aż do rozpatrywania materiału rzeczowego, przekazanego P. Prezydentowi w memorjale i rozporządzenia, by okresami przedstawiano sprawozdania, informujące o stanie osadnictwa wogóle, a byteńszczyzny w szczególności.

Pan Prezydent wypytywał się o życie osadników, jakby domyślał się, ile przywiązania i czci głębokiej żarzy się dlań w ich sercach prostych a szczyrych, które po żołniersku, bez skargi, tyle lat znosiły najcięższą niedolę, strażując przy ziemi z takim samym zdecydowaniem się na życie i śmierć, jak niegdyś w okopach. Tedy okrzyk: „Pan Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej niech żyje!” wzniesiony gromko przez szarą gromadę, miał w sobie wiele z żołnierskiej przysięgi i z żołnierskiej, wiernej ufności w opiekę Państwa. W chwili jedynej usta powtarzały bezgłośnie, rzucały do stóp Pierwszemu Dostojnikowi Państwa inny okrzyk: „A witajże nam, witaj, gospodynie miły”. Tak śpiewały ongiś piastowskie-

mu orłęciu rozentuzjasmowane z ukończenia sieroctwa tłumy. Ten sam refren błąkał się teraz w melodjach powietrznych, przesycił słońce, zielen, budząc w duszach osadników naszych nadzieje promienne, pewność prawie odnowienia.

Przecież w aucie już będąc, przed odjazdem samym, Pan Prezydent jeszcze rozmiawiał z delegatem osadników, jeszcze uśmiechał się dobrotliwie, po ojcowsku, do szarej gromady, stojącej na baczność, w ordynku żołnierskim, przed przedstawicielem majestatu Rzeczypospolitej i najlepszym człowiekiem. Więc czyż nie usprawiedliwione owo w ciszy serc śpiewanie: „A witajże nam, witaj, hospodynie miły“!

Zdaje mi się, że te niewypowiedziane słowa to była właśnie rzecz najważniejsza, kwintesencja chwili, urastającej na kresowych rubieżach do wielkości historycznego momentu. Dlatego wspomnienie jego żyć będzie wiecznie w pamięci wiernych Polsce żołnierzy-rolników, jak klejnot bezcenny, chowany na dnie najcięższych zmagañ z losem.

Bo wtedy właśnie nadzieiny blask ukaże oczom znużonym daleką stolicę, skąd musi przyjsć nam ocalenie.

Tak wierzymy, zapatrzeni w litosny, pełen najwyższej dobroci uśmiech Włodarza Państwa.

*Zofja Persomska — Byteń.*

## **Czego brakuje w handlu.**

W związku z ogłoszoną niedawno ankietą gospodarczą, otrzymaliśmy od naszych czytelniczek kilka listów w sprawach, związanych z produkcją krajową. Uważając te rzeczy za bardzo ważne, gorąco zachęcamy nasze Panie do wypowiedzania się na podane tematy, uważając tę drogę za jeden ze skutecznych sposobów polepszenia produkcji krajowej. Gorąco polecamy tego rodzaju dyskusje uwadze naszych wytwórców.

Czytając ankietę gospodarczą „Naszej Mównicy“, przyszło mi na myśl, że na marginesie jej mogłybyśmy omówić szereg pozornych drobiazgów, które jednakże odgrywają ważną rolę w naszym życiu. Tyle się mówi o inwencji zagranicy, a przecież fabrykanci nasi, wyjeżdżając po zakupy (niejednokrotnie zakazanej tandety artystycznej), mogliby wysyłać tam wykwalifikowanych ekspertów, którzy, zamiast przywozić towar zagraniczny gotowy, mogliby w szybkim czasie lansować podobne (i lepsze) wyroby naszej produkcji. Jako przykład, podać mogę: serwety i ręczniki. Czyż fabryki, choćby żyrdowskiej, nie stać na zaangażowanie kogoś z absolwentów Szkoły Sztuk Pięknych, lub choćby wzorowo prowadzonych (żeńskich) szkół zawodowych, ktoby uwolnił nas od potwornych esów-floresów i „kwiatów“, które to desenie, od niewiem ilu lat te same, uniemożliwiają kulturalnej publiczności nabywanie krajowych fabrycznych serwet i rysunków? Tak jest trudno o jakąś ładną kratę, czy pasy, wszędzie pakują człowiekowi te obrzydłe desenie. Największy czas wprowadzić w życie nowoczesne geometryczne kombinacje i

jakiś, wytrzymujący elementarną krytykę, dobór kolorów. Żądamy tego stanowczo.

*Aniela M. — Strzemieszyce.*

Nie wiem, czy moje współczelniczki zauważyły, jak trudno przelamać szablon kolorów w dziedzinie choćby bielizny damskiej. Od zeszłej zimy np. modny jest kolor „banana“. Byłam niedawno w Warszawie i nigdzie nie mogłam dostać „combinaison“ w tym kolorze. Frawiastych i seledynów natomiast bez liku. Cieszy mnie, że „Mównica“ poruszyła tak przyziemne tematy, może nasze pojedyncze głosy znajdują posłuch u „miarodajnych“. Poza to, że zdumieniem widzę ogłoszenia o wyrobach gospodarczych, meblach, tkaninach, ubraniach i t. p., prawie wyłącznie w pismach codziennych! Czyżby solidne, uczciwe firmy nie rozumiały doniosłości ogłaszania się w tak olbrzymiej centrali spraw kobiecych, jaką jest Tow. Wyd. „Bluszc“? Czyż nie do nas, kobiet, należy regulowanie domowego budżetu? Gazety wyrzucamy po jednorazowym przeczytaniu! Swoje pisma oprawiamy w roczniki i wracamy do nich raz poraz. Obok towarów, podawanie cenników jest konieczne. Równie mile byłyby widziane szczegółowe prospekty firm. Żądamy jednak uwzględnienia naszych potrzeb i racjonalnego postępu zarówno w praktycznej, jak dekoracyjnej stronie naszego życia.

Precz z szablonem i obskurantyzmem zagranicznej i krajowej tandety. *A. Bielecka — Radom.*

Z wielkiem zaciekawieniem śledzę wszystkie poruszenia Ligi Samowystarczalności Gospodarczej, z prawdziwą przyjemnością widzę echa jej działań w „Bluszc“u. Nie poruszając jednak przesądzonej już sprawy szkodliwości importu towarów zagranicznych, chcę zwrócić uwagę na szkodliwy dla mieszkańców nieuprzywilejowanych prowincyj naszego kraju „regjonalizm“ w dziedzinie choćby pieczywa. Nawiasem wspomnę o stracie, jaką ponieśliśmy z wycofaniem z handlu chleba t. zw. „sitkowego“. Nie znam się na tem dokładnie, ale nie wyobrażam sobie, aby kolidował on z obostrzeniami przemiału zboża, a miał tę zaletę, że nie czerstwiał tak prędko. Gdzieś niedawno jeszcze można było go dostać, ale w ostatnich miesiącach znikł zupełnie. A szkoda!

Wracając jednak do pieczywa regjonalnego: Chleb w Piotrkowie np. jest cudowny! Czy nie można wydrzeć tych cennych sekretów z niektórych dzielnic naszego kraju. Ileż czasu czekaliśmy na t. zw. w Warszawie „tureckie“ obwarzanki, a w Wilnie miały one od lat ustaloną opinię, coprawda pod nazwą (i słuszną) „żydowskich“. Wogóle pieczywo żydowskie jest doskonałe, czy nie dałoby się zapożyczyć sposobów jego wypieku? Równie zasłużoną opinię (nie wiem, jak teraz) miał przed wojną Wołkowysk. A Warszawa? Poza odwieczną kajzerką, nic. Sławne i higieniczne „Grahamy“ mają zawsze czerstwość kamienną. Mogliby nasi stołeczni piekarze poszukać nowych dla siebie pomysłów tam, skąd doprawdy warto i trzeba wziąć przykład.

*Łucja Kalinowska — Warszawa.*

## Nasza ankieta gospodarcza.

Odpowiedzi na ankietę, przysłane z Królewskiej Huty, w liczbie 15, podajemy w streszczeniu, wszystkie bowiem są zgodne w szczegółach.

Nr. 1. Większość pań załatwia sprawunki osobście, dwie tylko nie kupują produktów, nie stołując się w domu.

Nr. 2. Wszystkie panie kupują u stałych dostawców.

Nr. 3. Z towarów zagranicznych niektóre panie uważają jako lepsze: buciki i pastę do obuwia, śniegowce, niektóre materiały wełniane, swetry, pończochy, perfumy.

Nr. 4. Brak bardzo wielu towarów: przede wszystkim owoców, które są drogie, zarówno krajowe, jak zagraniczne, np. pomarańcze, winogrona, orzechy, migdały; brak i dobrych ryb, wielu produktów spożywczych (np. cykorji); brak przyborów malarskich, farb Buszka (farby niemieckie zalewają rynek); brak krajowych nici, guzików, zatrząsków, jedwabiu do szycia i haftu, artystycznych wyrobów ceramicznych; mały wybór bielizny, brak wyrobów glinianych przemysłu domowego i naczyń; materiały na suknie i dodatki są nieartystyczne, zarówno w barwach, jak w deseniach.

Nr. 5. Większość pań stara się o wyjaśnienie przyczyn tych braków, zgłaszając swe żądania.

Nr. 6. Wszystkie panie stwierdzają jednogłośnie solidną i ucziwą wagę, niezłą uprzejmość, ale znacznie *mniejszą zręczność* sprzedawców; opakowanie towaru b. liche (bez sznurków), kredyt łatwy.

Nr. 7. 8. Ogłoszenia w „Bluszczu“ chciałyby wszystkie czytelniczki widzieć o towarach i wyrobach krajowych z zakresu ubrania, mebli, perfumeryj, gospodarstwa domowego, nowoczesnych urządzeń, demonstrowanych na P. W. K., towarów, których brak specjalny na Śląsku (punkt 4), o nowych książkach, z zakresu zarówno beletrystyki, jak i wiedzy, wydawnictw dla dzieci i młodzieży.

Nr. 9. Większość pań kupuje na miejscu, w razie absolutnej niemożności dostania czegoś, wyjeżdża do Krakowa.

Nr. 10. Wiele odpowiedzi zwraca uwagę na fatalny zwyczaj obsługi sklepowej na Śląsku, zwracania się do klientów po niemiecku i podsuwania, jakby przypadkowo, towarów zagranicznych, głównie niemieckich, które ludność, zwłaszcza robotnicza, nabywa siłą nalożu.

1. Bieliznę, obuwie, meble kupuję zawsze osobście, często z mężem, swoje ubranie zawsze z mężem. Produkty spożywcze staram się kupować sama, rozumiejąc doniosłość tego; nie zawsze mi się to udaje, gdyż mam drobne dzieci. Piekarza i rzeźnika załatwia stale służąca.

2. Kupuję u stałych dostawców, radą znajomych kieruję się rzadko, z ogłoszeń korzystam w formie eksperymentów: a nuż co dobrego? Ogłoszenia, uporczywie miesiącami wbijane mi w głowę przez pisma, zawsze skłaniają mnie do nabycia towaru tytułem próby, np. wyroby Elida, mydło Schichta. Czasem zo-

staję stałym odbiorcą. „Z wystawy“ kupuję, ale tylko przedmioty oryginalne, swoiste, które mię czemś zachwyca, a są potrzebne.

3. Trudna odpowiedź, bo my nigdy nie wiemy, czy kupujemy towar zagraniczny, czy krajowy. Żądam zawsze krajowych. Perfumy tylko zagraniczne.

4. W Częstochowie, mieście jednym z większych, brak wielu rzeczy, które nieraz w mniejszych miastach nabyć można.

5. Zawsze zgłaszam krytykę i żądania.

6. Wagę dostaję dobrą, opakowanie również. Uważam tylko, że torebki używane są z b. grubego papieru, co na wagę dotkliwie wpływa. Traktowanie klientów bardzo różne, od nadzwyczaj kulturalnego, do zupełnie niechętnego, jakby z musu. Kredytów unikam. Przy większych sprawunkach są mi udzielane chętnie.

8. Ponieważ „Bluszc“ jest pismem dla kobiet, a kobiety wydają pieniądze na wszystko, więc wszelkie ogłoszenia w niem mogą być pożyteczne. Jeżeli wolno wyrazić swe życzenie, to chciałabym, by ogłoszenia były „sprawdzone“, by nie były reklamą dla tandety.

9. W Warszawie kupuję obuwie i okrycia.

Zofja Brykalska — Częstochowa.

Nr. 1. — Sprawunki załatwiam sama i ze służącą.

Nr. 2. — Lubię mieć stałych dostawców.

Nr. 3. — Dużo towarów krajowych jest dobrych, a mogłyby być wszystkie, ale są jeszcze braki: perfumy, trykoty, ładne drobiazgi męskiej toalety lepsze są zagraniczne.

Nr. 4. — W Warszawie braku towaru nie znajduję.

Nr. 5. — Zawsze zgłaszam żądania i proszę o kierowanie ich do źródeł.

Nr. 6. — Kredyt łatwy, obsługa uprzejma, opakowanie w większych firmach dobre.

Nr. 7. — Lubię ogłoszenia i kieruję się niemi.

Nr. 8. — W „Bluszczu“ chciałabym widzieć ogłoszenia: perfum, ulepszonych naczyń gospodarskich, nowych tkanin i mebli, bielizny (bo jest dużo tandety), wyrobów trykotowych i akcesoriów ubrania pań (kupuję dla męża i brata), a także książek, dużo dobrych książek. Ogłoszeń jest wszędzie wiele, ale ja chciałabym kierować się niemi z całym zaufaniem, a wiem, że „Bluszc“ wybierze solidne firmy.

Sprawunki, naturalnie, załatwiam wszystkie w Warszawie.

Nina Dryńska — Warszawa.

---

P. Marję Godlewską zawiadamiam, że wełnę przyjmuję i zamienia na kilimy p. Marja Kułaczkowska, ul. Zyblikiewicza 30 we Lwowie.

D. I.

---

Niniejszem zwracam się do Sz. Czytelniczek „Naszej Mównicy“ o wynajęcie mi pokoju (może być wspólny), przy spokojnej, inteligentnej rodzinie w Warszawie, w śródmieściu. Mogę przyjąć kondycję na parę godzin (specjalność: polski, łacina, niemiecki w zakresie 8 kl.), lub zając się dzieckiem. Piszę również na maszynie. Ewentualna zapłata do omówienia.

Proszę o kierowanie łaskawych ofert do „Mównicy“.

Lucyna Krzemieniecka.